WTOREK
Nr 96 19 VIII 1980 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Fot. J. Łopuszyński

Szkoło! Hej!

Jutro, 20 sierpnia we wszystkich szkołach podstawowych całego kraju rozlegnie się pierwszy po wakacjach dzwonek. To zapowiedź nowego roku szkolnego. Dla większości z Was będzie on kolejnym, wypełnionym wytężoną pracą. Wy także musicie pamiętać o najmłodszych koleżankach i kolegach, którzy po raz pierwszy zasiądą w ławkach. Dla nich dobry start to najważniejsza sprawa. Pewnie się nie mylą, licząc na Waszą pomoc...

NIEZWYKŁY PROJEKT „DEDAL"

- Wyprawa do gwiazdy Barnarda
- Odległość 6 lat świetlnych
- Napęd termojądrowy, pulsacyjny
- W każdej sekundzie ma wybuchać 250 minibomb termojądrowych

Szczegóły projektu „DEDAL" w TOMIKU na str. 7

W 10 minut dokonuje się elektronicznych badań serca

ZSRR-CSRS (PAP). Jednym z najcenniejszych wyników współpracy czechosłowackich i radzieckich naukowców, pracowników zaplecza badań podstawowych, jest skonstruowanie informatycznego urządzenia pomiarowego do badań pola elektrycznego serca. Specjaliści obu krajów opracowali diagnostyczną aparaturę zapisującą, która pozwala za pomocą elektrod przyłożonych do klatki piersiowej rejestrować aktywność serca. Inne urządzenie przetwarza elektronicznie ustalone wartości, które mały komputer przekłada na kod numeryczny. Badania tego rodzaju nie przekraczają 10 minut i są dla pacjenta nieodczuwalne. Opracowanie czechosłowackich i radzieckich naukowców wyróżnione zostało wspólną nagrodą Akademii Nauk obu państw. **(tok)**

SŁONECZNY „NAPĘD" TELEWIZORÓW

USA (PAP). W USA skonstruowano baterię słoneczną przeznaczoną do zasilania przenośnych telewizorów prądem o napięciu 12 woltów. Bateria, która składa się z 48 elementów w kształcie dysków, może być również zastosowana do ładowania specjalnych akumulatorów umożliwiających 3-godzinną pracę odbiornika telewizyjnego. **(kż)**

KLUCZE DLA NEPTUNA

W czasie trwania „Dni Gdańska" klucze miasta zostały przekazane Neptunowi. Bóg Morza władał grodem nad Motławą przez dwa tygodnie sierpnia. W tym czasie trwał także Jarmark Dominikański, największa impreza „Dni Gdańska", która, jak zwykle, ściągnęła całe tłumy turystów i gdańszczan.

Fot. CAF

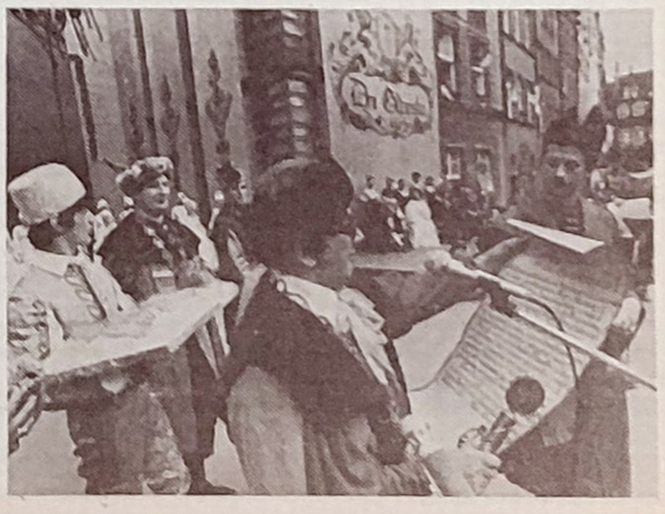

Do 1985 r. — 3,5 tys.

JESZCZE W TYM ROKU 500 ROBOTÓW BĘDZIE PRACOWAŁO W NASZYCH ZAKŁADACH PRZEMYSŁOWYCH

WARSZAWA (PAI). Dzięki pracom Przemysłowego Instytutu Automatyki i Pomiarów „Mera-Piap", Instytut Mechaniki Precyzyjnej i pruszkowskiego Centrum Badawczo-Konstrukcyjnego Obrabiarek Polska zajmuje wysoką pozycję wśród wytwórców robotów z krajów RWPG. Owi „mechaniczni pomocnicy" są wykorzystywani w zakładach przemysłowych, wprowadzających automatyzację produkcji. Są wśród nich roboty wyspecjalizowane i uniwersalne, dające się przeprogramowywać. W latach 1981–1985 polski przemysł maszynowy zamierza wprowadzić do produkcji ok. 4,5 tys. robotów i manipulatorów (głównie do prac związanych z obróbką plastyczną i obróbką skrawaniem). Obecnie w Polsce pracuje na „etatach" przemysłowych ponad 200 robotów; plany na rok bieżący zakładają wyprodukowanie ich 500. **(tok)**

GALEON PEŁEN SKARBÓW

USA (PAP). Wrak XVIII-wiecznego hiszpańskiego galeonu, odkryty niedawno na głębokości 6 m u brzegów Luizjany, odsłonił swe tajemnice. Wydobyto z niego 20 kg złota w sztabach, 15 kg srebra, kilka ton miedzi i liczne zabytki sztuki azteckiej, wśród których na uwagę zasługują szyldkretowe grzebienie i ceramika. Zachowały się również działa okrętowe i kotwica.

Na zatopiony galeon natrafił amerykański rybak, który zamiast oczekiwanych ryb znalazł w swych sieciach sztabki złota. 75 proc. wartości skarbu przypadnie szczęśliwemu znalazcy i zwerbowanym przez niego nurkom, natomiast reszta przejdzie na własność państwa. Rybak ocenia, iż złoto galeonu przysporzy mu niebagatelny dochód – ok. 350 tys. dolarów. **(kl)**

HINDUSCY UCZNIOWIE ZWALCZAJĄ ANALFABETYZM

DELHI (PAP). Minister Oświaty, Kultury i Ubezpieczeń Społecznych Indii podał w parlamencie dane dotyczące zwalczania analfabetyzmu w tym kraju. W ubiegłym roku czytać i pisać nauczyło się w Indiach 3,2 mln osób dorosłych, tj. ponad milion więcej niż w roku 1978. Obecnie w Indiach jest ponad sto milionów analfabetów. W całym kraju działają ośrodki zwalczania analfabetyzmu, w których pracują ochotniczo nauczyciele szkół średnich, studenci i uczniowie starszych klas. **(la)**

O tym się mówi

Prąd z... kosmosu

Światowy kryzys energetyczny uwidocznił w szczególnie dramatyczny sposób wszystkim wysoko uprzemysłowionym krajom znaczenie źródeł energii dla dalszego dynamicznego rozwoju. Według przewidywań futurologów tradycyjne nośniki energii, jak ropa naftowa czy węgiel ulegną wyczerpaniu najprawdopodobniej w ciągu najbliższych 200 lat. Jako antidotum proponują niektórzy rozwój energetyki jądrowej. Nie rozwiązane są jednak nadal problemy związane z magazynowaniem i unieszkodliwianiem tzw. śmieci atomowych, a więc zużytego w elektrowniach atomowych, lecz nadal wysoce radioaktywnego paliwa. Radykalnym rozwiązaniem problemów energetycznych świata mogłoby stać się opanowanie energii termojądrowej. Na razie jednak nie rozwiązano wielu zasadniczych problemów technicznych i technologicznych warunkujących spożytkowanie tej energii do celów pokojowych. Tak więc nadal wykorzystanie możliwości energetyki jądrowej ma przed sobą wiele znaków zapytania. Mimo to niezbędnym wydaje się opanowanie w ciągu najbliższego stulecia nowych źródeł energii, które zastąpiłyby wyczerpujące się zasoby tradycyjnych paliw.

Niezwykle śmiały projekt rzucił jeden z szefów amerykańskiego koncernu „Boening" – O.C. Boileau. Zaproponował on mianowicie, po przeprowadzeniu dokładnych badań i obliczeń, umieszczenie w przestrzeni kosmicznej olbrzymich elektrowni słonecznych o mocy równoważnej 10 elektrowniom jądrowym każda. Projekt ten opatrzono znamiennym tytułem: „Energetyczne satelity słoneczne – godna uwagi możliwość gospodarczego uzyskiwania energii".

Będzie to jedna z najbardziej kosztownych inwestycji. Jej koszt oceniany jest na około 1000 miliardów dolarów. Wydaje się jednak całkowicie realny technicznie. Jego realizacja pozwoli jednocześnie na przełamanie rysującego się obecnie ograniczenia dalszego rozwoju ludzkości spowodowanego wyczerpywaniem się dotychczasowych źródeł energii.

W szczegółach propozycja ta polega na umieszczeniu w przestrzeni kosmicznej na geostacjonarnych orbitach w odległości ok. 36 tys. km od powierzchni Ziemi olbrzymich stacji o wielkości dwukrotnie przewyższających powierzchnię Manhattanu i wadze 100 tys. ton. Stacje te będą miały kształt prostokąta o bokach 4,3 km na 1,7 km. Na powierzchni tej 14 miliardów fotokomórek zamieniać będzie bez przerwy energię słoneczną na energię elektryczną o mocy 10 tys. MW. Ta olbrzymia energia przekazywana będzie w postaci promieniowania mikrofalowego na Ziemię. Strumień energii mikrofalowej mieć będzie średnicę jednego kilometra.

Boileau proponuje umieszczenie w przestrzeni kosmicznej co najmniej 25, a być może nawet 100 takich stacji, których moc równoważna jest 10 przeciętnym elektrowniom atomowym. Rozwiązanie to będzie rozwiązaniem ziemskich problemów energetycznych na co najmniej sto, a być może i na tysiąc lat.

Tak więc projekt „Boeninga", którego realizację przewiduje się na około 50 lat, może stać się propozycją „nie do odrzucenia", eliminującą zarazem wszelkie obawy i niebezpieczeństwa związane z rozwojem energetyki atomowej. (b)

Gadające kamienie

Czasem o wszystkim decyduje przypadek. Zwykły zbieg okoliczności, wsparty tak niezbędnym dla poznania wszelkich tajemnic lutem szczęścia. Dzięki temu do rąk człowieka trafia klucz do otwarcia bramy wiodącej w Nieznane, poszerzony zostaje obszar naszej wiedzy. I zawsze w sukurs takim niezwykłym przypadkom przychodzą ludzie wręcz opętani pasją poznania, pełni uporu, z żelazną konsekwencją kroczący drogą, którą sobie wytyczyli.

Dziś opowiemy o dwóch takich zdarzeniach z historii badań archeologicznych. Ich bohaterami byli uczeni i... kamienie. Kamienie, które przemówiły.

Zazgrzytała łopata, trafiając na jakiś twardy przedmiot. Żołnierz w postrzępionym, wypłowiałym w słońcu pustyni mundurze armii napoleońskiej rozgarnął rękoma wierzchnią warstwę piasku. Jego oczom ukazała się płyta z czarnego bazaltu wielkości blatu dość dużego stołu. Pokrywały ją trzy kolumny, nieco zatartych już napisów.

Kiedy to było? W pierwszych miesiącach ostatniego roku osiemnastego stulecia, w Egipcie, w Fort Julien – dokładnie 7,5 kilometra od miejscowości Rosetta nad Nilem. Żołnierz cofnął się zaniepokojony. Niezrozumiałe dziwaczne znaki na płycie napawały go lękiem. Wolał nie mieć z tym nic wspólnego. Zawołał dowódcę. Po kilku dniach pochyliły się nad nią głowy naukowców, których Napoleon zabrał ze sobą na kampanię egipską. Już pierwsze oględziny tablicy z czarnego bazaltu wprawiły ich w zdumienie. Mieli przed sobą klucz do poznania życia w Egipcie faraonów!

„Kamień z Rosetty", przechowywany obecnie w British Museum w Londynie, zawiera adres hołdowniczy kapłanów z Memphis do faraona Ptolemeusza V z dziękczynieniami. Nie byłoby w tym nic rewelacyjnego, gdyby nie fakt, że napis sporządzono w trzech językach. Oddajmy głos E. W. Ceramowi, autorowi znakomitej książki o historii badań archeologicznych – „Bogowie, groby i uczeni": „...pierwszy napis miał czternaście wierszy i był hieroglificzny, drugi dwudziestowierszowy był demotyczny, trzeci liczył pięćdziesiąt cztery wiersze i był grecki. Grecki! A więc czytelny! A więc zrozumiały!..."

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że znaczenie „kamienia z Rosetty" polegało jedynie na możliwości odczytania z greckiego napisu treści kapłańskiego podziękowania dla Ptolemeusza V. Stawiał on uczonych przed perspektywą bardziej frapującą – przed możliwością odczytania hieroglifów. Dziwnych znaków, napotykanych niemal na każdym zabytku egipskim, znaków tajemniczych i niezrozumiałych, które wg jednych są jedynie symbolami magii kabalistów, zaś innych – znakami pisma i źródłem wiedzy o epokach faraonów nad Nilem. Wystarczyło tylko porównać napis grecki z jego hieroglificznym odpowiednikiem. „Kamień z Rosetty" stawał się niemal klasycznym zadaniem dla specjalistów od łamania szyfrów. Do dyspozycji był „klucz" – tekst grecki i „szyfr" – tekst hieroglificzny. Ale znalezienie sposobu, jak należało je porównać, szybko okazało się niewiarygodnie trudne. Chyba, chyba że zajmie się tym geniusz...

Niewątpliwie Jean Francois Champollion zasługiwał na to miano. Mimo młodego wieku znał 12 języków starożytnych, był autorem kilku prac; za jedną z nich w wieku 17 lat został przyjęty do akademii nauk w Grenoble.

Champollion był jeszcze nastolatkiem, gdy po raz pierwszy ujrzał „kamień z Rosetty". Przysiągł sobie wtedy, że wbrew wszystkim przeciwnościom znajdzie sposób odczytania hieroglifów. Darujmy sobie szczegółowy opis bardzo skomplikowanych rozważań, które doprowadziły pracę młodego Francuza do szczęśliwego zakończenia. Powiedzmy tylko o jednym decydującym o powodzeniu spostrzeżeniu, które poczynił on zaraz na wstępie analizy napisu.

Miarą geniusza jest zawsze umiejętność znalezienia w niezwykle zawikłanej łamigłówce, pełnej pozornie nie łączących się ze sobą szczegółów, pewnej zasady ogólniejszej, poczynienia spostrzeżenia, dzięki któremu chaos zaczyna stopniowo ukazywać swój, do tej pory ukryty, porządek. Genialnym założeniem Champolliona było uznanie, że pierwsza grupa hieroglifów, otoczona ramką, oznacza imię faraona Ptolemeusza. Porównuje to z napisem na znalezionym nieco później po „kamieniu z Rosetty" obelisku z Philae, gdzie pojawia się imię tego samego faraona i imię Kleopatry. Dzięki temu dokonany został pierwszy i decydujący krok w tajemniczy świat hieroglifów. Lata dalszej pracy genialnego Francuza i innych badaczy doprowadziły do całkowitego odczytania pisma hieroglificznego, do poznania jego systemu. A to oznaczało szerokie otwarcie bram w świat starożytnego Egiptu.

Przenieśmy się teraz na zachodni brzeg Oceanu Atlantyckiego, do Salem, w okolice Kensington w stanie Minnesota w USA. Jest upalne lato roku 1898. Olaf Ohman ścinając drzewo wydobył wplątany w korzenie pnia prostokątny kamień. Po krótkich oględzinach okazało się, że pokrywają go jakieś znaki. Olaf Ochman jest osadnikiem pochodzenia skandynawskiego, bez trudu więc rozpoznaje w dziwnych symbolach runy – znaki dawnego pisma Wikingów. Sensacja! Nagłówki gazet biją wielkimi tytułami: „Wikingowie w Ameryce". Ale zaraz rozlegają się głosy sceptyków. Naukowcy wydają druzgocący werdykt – sprawa „kamienia z Kensington", bo tak ochrzczono znalezisko Ohmana, jest zwykłym oszustwem. A znajdujące się na kamieniu runy, głoszące wieść o pobycie na kontynencie amerykańskim kilkudziesięciu Wikingów – zostały sfałszowane. Rozgoryczony znalazca wmurowuje kamień w próg stodoły i dopiero po kilku latach decyduje się znów dowodzić prawdziwości swojego znaleziska. Namówił go do tego Hjalmar R. Holand – młody człowiek, który zafascynowany zagadką z Kensington postanawia potwierdzić autentyczność kamienia nie przeczuwając, że tej sprawie poświęci całe swoje życie.

Hjalmar R. Holand odczytał dokładnie napis runiczny. Brzmi on: „(Znajdujemy się) 8 Gotów (Szwedów) i 22 Norwegów w podróży odkrywczej z Vinland na zachód. Mieliśmy obóz obok dwóch skalistych wysepek, kilka dni podróży na północ od tego kamienia. Byliśmy (oddaliliśmy się) i łowiliśmy ryby przez jeden dzień. Potem wróciliśmy do obozu, znaleźliśmy 10 (naszych) ludzi czerwonych od krwi i martwych. A(ve) V(irgo) M(aria), wybaw (nas) od złego.

Mamy 10 (ludzi) z naszej załogi nad morzem, by pilnowali naszych okrętów, 14 dni podróży od tej wyspy, Rok 1362".

Holand doprowadził do szczegółowego zbadania kamienia. Przeanalizowano stan zwietrzenia, poddano go próbom chemicznym, badaniom mikroskopowym. Opinie archeologów, geografów, geologów były zgodne: kamień i wyryty na nim napis są autentyczne. Geologowie określili, że mógł on powstać ok. 600 lat temu.

Holand nie zaniedbał żadnych szczegółów – zdobył zeznania świadków znaleziska kamienia, którzy zaświadczyli, że korzenie drzewa oplatające kamień były spłaszczone pod jego ciężarem. Dowodzi to, że leżał on w miejscu, gdzie urosło drzewo wcześniej niż ono zakiełkowało. Holand postawił uczonym wątpiącym w prawdziwość kamienia z Kensington pytanie, na które żaden z nich nie potrafił znaleźć odpowiedzi: komu ewentualnie fałszerstwo mogło przynieść korzyść?

Wspomniane wcześniej charakterystyczne spłaszczenie korzeni – argumentował Holand – świadczy o tym, że kamień leżał już w ziemi, gdy padło koło niego nasionko drzewa. A zatem 70–80 lat przed dniem wykopania! Czyli fałszerstwa musiano by dokonać ok. 1820 roku. I człowiek, który miałby go dokonać, musiał już w owym czasie doskonale znać staroskandynawskie runy i musiał – co już jest zupełnym absurdem – zakładać, że obszar, na którym zakopuje falsyfikat, po 70–80 latach będzie interesował naukowców jako domniemany teren działania wypraw Wikingów na kontynent amerykański. A na dodatek – triumfował Holand – około 1820 roku na tych terenach nie było ani jednego białego człowieka! Pierwszy osadnik pojawił się tam dopiero pod koniec lat 50-tych ubiegłego stulecia.

Holand postanowił także podważyć wątpliwości runologów. Sięgnął w tym celu do dowodów historycznych, dowiódł na podstawie zabytków piśmiennictwa skandynawskiego z XIV wieku, że zastrzeżenia runologów są, oględnie mówiąc, naciągane i wszystko przemawia za tym, że także od strony językoznawczej napis na kamieniu z Kensington nosi wszelkie cechy autentyczności.

Argumenty Holanda, z podziwu godną konsekwencją rozpraszającego wszelkiego rodzaju dwuznaczności wokół znaleziska z Kensington, przekonały wielu, ale nie dały odpowiedzi na wszystkie pytania. Ale dzięki temu przekonanie, że kontynent amerykański na długo przed Kolumbem penetrowały wyprawy Wikingów, nie opiera się dziś tylko na informacjach przekazywanych w runach kamienia z Kensington. Potwierdza ją dziś wiele innych niepodważalnych dowodów. Do ich odszukania przyczyniło się niewątpliwie odkrycie Olafa Ohmana i nieprawdopodobny upór Hjalmara R. Holanda.

Oprac. K.P.

Rys. Szarlota Pawel

Obozowe obyczaje...

Nie ma chyba takiego harcerskiego obozu, który nie miałby jakiegoś swojego obyczaju. Na jednym jest to atrakcyjna forma porannego lub wieczornego apelu, na drugim każdy obozowy dzień zaczyna się specjalnym hasłem-zawołaniem, któremu podporządkowane są wszystkie realizowane zadania, a na trzecim ceremoniał wyróżniania tych, którzy w tym dniu najbardziej zasłużyli się dla obozu. Można by tu przytoczyć wiele innych przykładów obyczajów poważnych i humorystycznych, które nie tylko urozmaicają obozowe życie, ale i cementują przyjaźnie, pozostawiają najmilsze wspomnienia.

Są też obyczaje, które na harcerskich obozach nie powinny mieć miejsca. Niestety, mają jednak jeszcze sporą grupę zwolenników i to wśród kadry. Na jednym z obozów położonych w okolicy Włodawy, sam druh komendant przekonywał mnie, że te obyczaje to harcerska tradycja i największa obozowa przygoda.

O jakież to tradycyjne obyczaje chodzi? Ano o potajemne w środku nocy zerwanie flagi z masztu sąsiedniego obozu. Nie zawsze udaje się niepostrzeżenie dokonać tego „wyczynu", wtedy trzeba lekko przydusić wartownika i sprawa załatwiona. Tego obyczaju ciąg dalszy – to żądanie rankiem okupu za skradzioną flagę, najczęściej w formie iluś tam tabliczek czekolady lub „robocizny" czyli szorowania garów i kotłów.

Zwolennikom tego obyczaju jest zupełnie obojętne, że przedmiotem zabawy jest narodowa flaga, symbol naszych narodowych tradycji i państwowości. Jest przecież okazja do pośmiania się z poszkodowanych i wyłudzenia okupu. Czyżby to był harcerski obyczaj, że za skradzioną rzecz dostaje się nagrodę?

Albo inny obyczaj, który każe niszczyć własność sąsiada – to rozwalanie obozowych urządzeń lub obcinanie namiotowych sznurów. Podkrada się nocą żądna emocji wataha chwatów i finkami tnie sznury. Namiot się wali, a spod płótna rozlega się wrzask przerażonych „śpiochów". Zabawa jest bardziej jeszcze udana, jeśli to namiot dziewcząt, bo największy podnoszą wrzask i szamocą się, jak ryby w matni. Ale z czego tu się śmiać?

W swoich wędrówkach trafiłem do obozu, który rozłożył się tuż obok ponurego zamczyska. Ciemna noc, północ, a tu nagle rozlega się niesamowite wycie, łkanie i jęki. Nie było chyba ani jednego uczestnika obozu, któremu włosy nie zjeżyły się na głowie. W namiotach rozległ się płacz i wołanie o przybycie kadry. Kadra jednak nie przybyła uspokoić przerażonych obozowiczów, bo... właśnie zabawiała się w duchy. Druhny i druhowie z kadry nie pomyśleli, że ta ich zabawa mogła niejednego dorosłego przyprawić o nerwicę.

Zabawa w duchy to również obyczaj „dowcipnych" wyrostków w niektórych miejscowościach obozowania harcerzy. Gwizdy i przeraźliwe wrzaski o północy, podkradanie się do namiotów i nierzadko obrzucanie ich kamieniami – to uznane przez nich za najlepsze formy nawiązywania kontaktu z obozowiczami. No cóż, fantazji i pomyślunku starcza im tylko na to, aby innym dokuczyć, zabawić się cudzym kosztem. Kretynizm to choroba, którą trzeba leczyć wszelkimi dostępnymi środkami.

Denerwujące są to „obyczaje" i nieludzkie, po prostu chuligańskie. Na tego rodzaju „zabawy" jest tylko jedna rada – kolegia karno-administracyjne. A przeciw złym obozowym obyczajom? To już sprawa rozsądku kadry instruktorskiej i chyba większej znajomości przez nią obozowych tradycji i obyczajów harcerskich.

Obozowe lato już się kończy, ale do tradycji harcerskich należy również to, że już teraz myśli się o kształcie przyszłorocznych wakacji. Poza wszystkimi związanymi z tym sprawami, warto również pomyśleć o tych, do których należy i taka „drobnostka", jak obozowe obyczaje.

RYSZARD RATAJCZYK

NA ŚLĄSKU POWSTAJE PORT

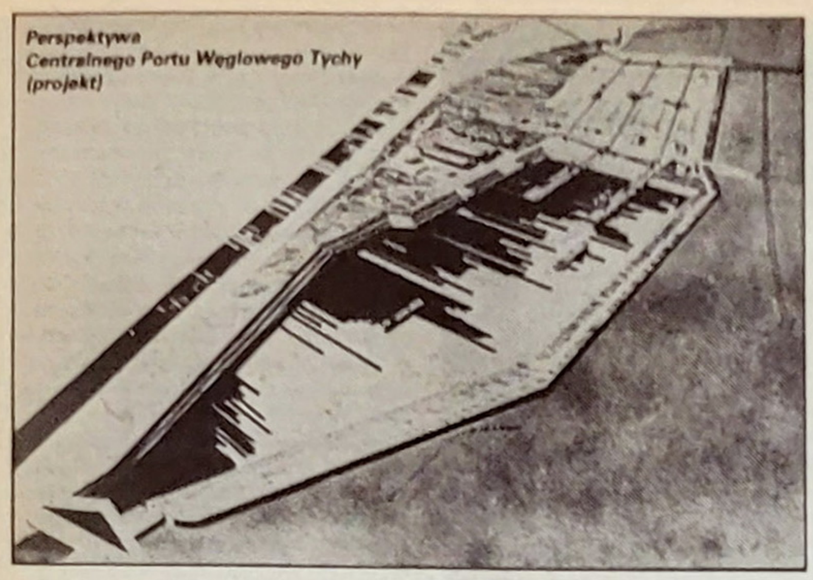

Perspektywa Centralnego Portu Węglowego Tychy (projekt)

Budynki Dyrekcji Centralnego Portu Węglowego Tychy (projekt)

Choć brzmi to niewiarygodnie, jednak prawdą jest, że w dniu 6 marca 1980 roku rozpoczęto w Bijasowicach, maleńkiej miejscowości leżącej w granicach administracyjnych Tych, przez którą przepływa Wisła nie większa od miejskiej ulicy – budowę jednego z największych portów śródlądowych w Europie: Centralnego Portu Węglowego.

Na razie niewiele tu widać i trudno laikowi wyobrazić sobie, jak można na tak podmokłym terenie wybudować port śródlądowy z ponad 20-hektarowym basenem i torem wodnym szerokości 60 m. Dyrektor tej wielkiej budowy mówi żartem: „...budujemy większy stawek i większy rów".

Nie jest to jednak takie proste, skoro pod dnem zalega węgiel, który wydobywany na powierzchnię w ciągu kilkudziesięciu lat, obniży teren o co najmniej 10 metrów. Poradzili sobie jednak z tym problemem projektanci z Biura Projektów Budownictwa Morskiego z Gdańska i specjaliści górniczy. Okazuje się nawet, że przy wszystkich z tym przedsięwzięciem związanych kłopotach jest jedno pocieszenie: dzięki osiadaniu terenu nie trzeba będzie pogłębiać potem basenu portowego i kanału wejściowego.

Pierwsze barki z węglem dostarczonym do portu taśmociągami z kopalni „Piast", „Ziemowit" i „Czeczot" popłyną stąd z końcem 1983 roku. Docelowo zestawy barek o ładowności 3500 tys. ton – czyli tyle, ile przewożą trzy pociągi – wywozić będą rocznie miliony ton. Odciąży to trochę straszliwie zatłoczone drogi i linie kolejowe Górnego Śląska.

Ziszczą się marzenia Żeromskiego, który wiele już lat temu pisał:

„Ujmie nareszcie brzegi wiślane plemię w jedno zrośnięte. Obwaruje je wreszcie niezłomnymi tamami, zabezpieczy na zawsze złotodajne niziny, wielkimi pracami wymiecie nierówności dna, rozległe mielizny, bruzdy i wzgórza, fałdy i jamy ze stromemi ścianami, studnie kilkusążniowej głębiny, wywiercone przez nagłe wiry. Powiększy i unormuje głębokość żeglowną, ułatwi ruch lodów. Zginie w Wiśle odwieczna, bezpłodna łacha i odwieczny rokroczny zator – czterokrotna w roku powódź, samopas i niewolniczo, niszczycielsko i obłędnie chodząca masa wód. (...) Ugną się swawolne nurty pod setkami tysięcy sztuk i komięg, bez przerwy, dzień i noc, darmo i szybko wiozących węgiel do Warszawy i Gdańska." **(mt)**

Fot. i repr. **Z. Bisanz**

Długo się namyślałem czym ozdobić to spotkanie i wreszcie zdecydowałem się na jedną z kilku maszyn niewiadomego zastosowania, wymyślonych przez pewną Justynę, która pisze: „Gdybyś przypadkiem wspomniał coś o mnie w „ŚM", w swym kąciku, to nie mów ludziom z całej Polski jak się nazywam. Dla nich będę „Joanna", dobrze?"

Dobrze Joanno, *„poważna nastolatko"* – jak piszesz – nikomu nie powiem choćby mnie smażono w smole... A na razie za półmetrowy list (którego fragmenty jeszcze kiedyś zacytuję) i rysunki – przydzielam Ci ZIELONE.

PRZYZNAJĘ: sam tego chciałem i NIE ŻAŁUJĘ!

To już przechodzi wszelkie wyobrażenia! Właśnie jestem w trakcie rozcinania i zaglądania do środka **siedemset dwudziestego pierwszego** listu od Was! Tak jest, przeczytałem i obejrzałem ich już dotąd taką ilość, a kupka nierozciętych, leży na wielkim muchomorze zastępującym mi stół i czeka swej kolejki, choć kiedy to piszę, nie zaczęły jeszcze napływać odpowiedzi na drugi EKSTRA KONKURS.

Świat – który przekręcił mi się do góry nogami już dwieście listów temu – zaczyna teraz zawiązywać się na supeł. Przewiduję najgorsze...

A tu jeszcze **Robert Matoszko z BIAŁEGOSTOKU** pyta mnie w liście czy nie mam aby w domu syfonu z wodą sodową. Mam, i co z tego! Czytam więc dalej, a tam jest, żeby przesiać przez sitko tę wodę i uzyskane tym sposobem banieczki naświetlić zużytymi promieniami ze starej kwarcówki, to z tego wylęgną się rude kurczęta.

Kochany! Ja nie mogę się zajmować drobiarstwem, bo muszę czytać Wasze listy! Masz u mnie CZARNE LITERY i daj mi święty spokój...

Otwieram następny list, a tam prawdę mówiąc jeszcze gorzej: maszyna do robienia ładnej pogody. Jeszcze tylko tego mi brakowało do kompletu:

„Jest to takie urządzenie, które pompuje do atmosfery ciepłe i wilgotne powietrze, i w ten sposób zwiększa ciśnienie w atmosferze. A większe ciśnienie to wyż, a wyż to pogoda. Chmury – jeśli jakie powstaną – rozbija się za pomocą armatki, a brak deszczu można zrekompensować odkręcając zakrętkę.

Pozdrawiam Cię! Grzegorz P. z Olsztyna"

Pewnie że tak! Odkręcę sobie zakrętkę X, i będę miał spokój. **Bierz CZARNE**, a ja zaglądam do kolejnej koperty. Nadesłała ją **Magda Wnuczak z WARSZAWY**...

„Jałmużna trawie (gra towarzyska).

Każdy uczestnik tej gry bierze z domu dowolną ilość pieniędzy,rozmienionych najlepiej na 10-groszówki. Potem wszyscy idą na łąkę, gdzie rośnie wysoka trawa, wyjmują monety i rozrzucają je w dowolnych miejscach. Po opróżnieniu kieszeni wracają ze śpiewem do domu, szczęśliwi, że wzbogacili nieco trawę, a tym samym ziemię".

No więc, masz już swoje **CZARNE** za projekt tej działalności społecznej, a ja idę się trochę zdrzemnąć, bo mi się w głowie kręci od tego wszystkiego...

PO DWÓCH DNIACH

Otrząsnąłem się nieco po tych koszmarach i mogę wreszcie przedstawić projekt ze wszech miar poważny. Nadesłał go niejaki **„Colombo" z ŁOMŻY (18-400)**. Projekt przedstawia maszynę do odzyskiwania cennej wody pitnej z bezwartościowych płynów zanieczyszczonych alkoholem, barwnikami i różnymi zapachami. Tę bezsensowną mieszaninę sprzedaje się tu i ówdzie pod różnymi nazwami: jako koniak, likier, wódka gatunkowa itp., ale butelki zawierają stale to samo paskudztwo, mimo różnych etykietek. Należy to odkapslować i wszystkie te brudy wlać do destylarki „Colombo". Zanieczyszczenia zostaną w niej usunięte, a z kraniku umieszczonego w odpowiednim miejscu popłynie czysta, krynicznie przejrzysta woda, po prostu palce lizać.

I o to właśnie chodzi!

Pomysł jest bardzo na czasie, ponieważ podejrzane płyny w zakapslowanych i zaetykietkowanych butelkach zalegają półki sklepowe, nikt ich od lat nie kupuje, a tak to przynajmniej będzie z nich jakiś pożytek. **ZIELONE** przydzielam!

I tym optymistycznym akcentem kończąc, żegnam Was i do następnego spotkania!

PS. Serdecznie dziękuję za kolejne podarunki: **Joli A. z KOBIAŁEK NOWYCH** za zasuszone listki pokrzyw, **Stefanowi Halandysowi z SOPOTU** za to coś fioletowego w papierku, co miałem rozpoznać ale, niestety, nie rozpoznałem. I drugiej **„Joli" z Warszawy** za moją podobiznę *„z tym Twoim krzywym uśmieszkiem, o którym nie wiadomo co sądzić"*, wykonaną z kaszki manny pomalowanej na zielono. Schowam sobie to wszystko do mojego muzeum!

Zielony P.

Szkolny Klub Hobbistów

Niedawno założyliśmy Szkolny Klub Hobbistów. Są w nim następujące sekcje: biologiczna, autorska i młodzieżowa. Z czytelnikami „ŚM" chcielibyśmy porozmawiać o tej ostatniej. Należy do niej najwięcej osób, które są zainteresowane sprawami młodzieży od 13 do 15 lat. Mamy swoich korespondentów w całej Polsce. Porozumiewamy się listownie i przesyłamy sobie nawzajem informacje. Ta forma współpracy jest bardzo ciekawa i pożyteczna. Do Czytelników gazety mamy następujące pytania: czy pomożecie nam w prowadzeniu tej sekcji? Jeśli tak, czekamy na listy. Oto adres przewodniczącej sekcji, pod który możecie przysyłać korespondencje:

Daria Osiczak
SHH nr 3042
(sekcja młodzieżowa)
ul. Przełajowa 9/37, 94-045 Łódź

Zbieram przepisy na wypieki ciast

Pomysł założenia „Kącika Przyjaciół" bardzo mi się spodobał. Dlatego też postanowiłam się zgłosić. Na imię mam Marzena. Po wakacjach będę w szóstej klasie. Uczę się dobrze. Uczęszczam do dwóch szkół: podstawowej i młodzieżowej (klasa fortepianu). Włosy mam czarne i krótkie. Oczy piwne. Jestem wysoka. Nie mogę powiedzieć, żebym była ponurakiem i odludkiem. Wprost przeciwnie, lubię wesołe towarzystwo. Zbieram widokówki oraz przepisy na różne wypieki ciast. Nie uprawiam żadnej dyscypliny sportowej, lubię czasami popływać i pograć w kometkę. W wolnych chwilach czytam książki przygodowe.

Marzena Repnik,
ul. 12-lutego 214 m 14
82-300 Elbląg

Sprawy ważne i nieważne

Ten list kieruję do Was, koleżanek i kolegów, wypowiadających się w „Redakcyjnej Poczcie". Wasze korespondencje są nudne, bo prawie zawsze poruszacie w nich podobne problemy. Najczęściej bywa tak, że chcecie pomocy, jesteście załamani, ale tak naprawdę sami nie macie ochoty samodzielnie pomyśleć nad swoimi kłopotami. Wychodzi na to, że tak istotne dla Was sprawy traktujecie powierzchownie i może dlatego wypowiedzi stają się błahe. W jednym z numerów pisze list „Okularnica". A na cóż narzeka? Oczywiście na to, że ją ktoś przezywa z powodu „szkiełek". Następnie na zakończenie listu sama to robi, podpisując się przezwiskiem. Czy to nie dziwne? Poza tym jestem pewna, że porządnie przesadza. Ja także noszę okulary i wiem, że czasem niezbyt mądry człowiek powie coś głupiego na ten temat. A zdarza się to naprawdę rzadko. Czy tam gdzie mieszka „Okularnica" są inni ludzie? Nie wierzę. Uważam, że większość ludzi noszących okulary wygląda w nich dobrze i ładnie, zwłaszcza przy odpowiednio dobranej oprawce. Następna sprawa: najwięcej listów zamieszczonych w „Redakcyjnej Poczcie" dotyczy miłości. Ten problem jest niewątpliwie poważny. Niektórzy uważają, że nie istnieje prawdziwa miłość nastolatków. Ja sądzę, że może się tak zdarzyć, ale miłość rozumiana nie tak, jak ją interpretują niektóre dziewczęta, np.: „Długo na siebie patrzyliśmy. Nie znam go, nie wiem kim jest, ale chyba nie jestem mu obojętna, ja go kocham!" Widziała go przez chwilę, natychmiast jej się spodobał i natychmiast go pokochała! Sądzi, że to miłość! Te wypowiedzi są strasznie naiwne. Niezbyt chętnie je czytam. Podobają mi się natomiast dyskusje prowadzone przez Czytelników na poważniejsze tematy, np. dotyczące stosunków z rodzicami, planowania własnego czasu, zaradności, samodzielności czy też egoizmu i wygodnictwa.

Barbara

OD REDAKCJI: A co na ten temat sądzą inni Czytelnicy? Jakie macie problemy, co Was gnębi, co raduje? O czym chcielibyście dyskutować i rozmawiać w „Redakcyjnej Poczcie"? Czekamy na listy. Najciekawsze wydrukujemy. (bs)

JANUSZ ZAJDEL, autor powieści i opowiadań science-fiction, powiedział nam:

„Jestem umiarkowanym optymistą”

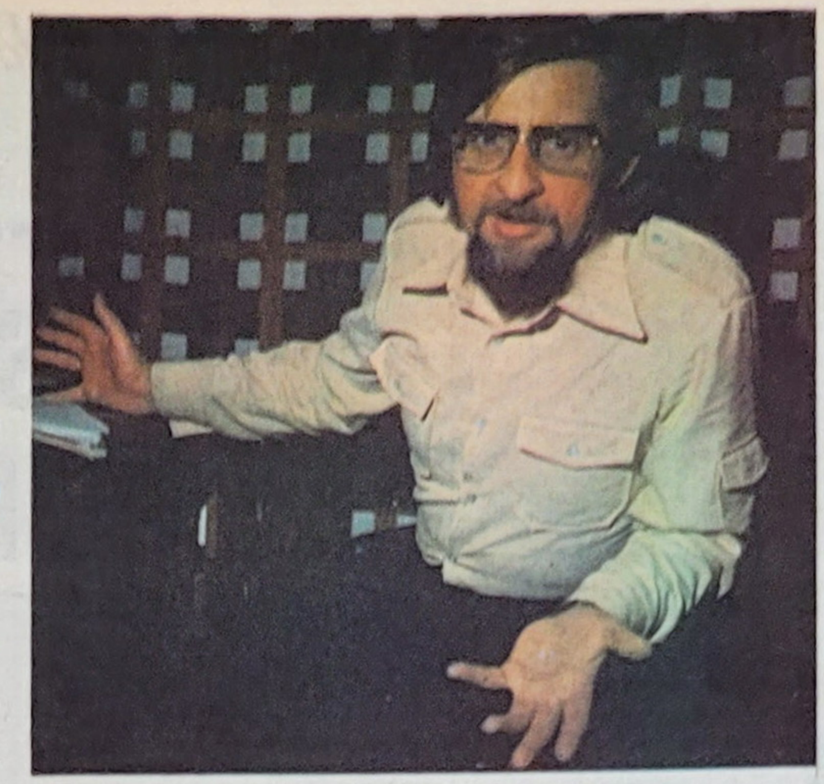

Nasza rozmowa dotyczyła refleksji z pogranicza fantastyki naukowej oraz dorobku literackiego pisarza, który z wykształcenia jest fizykiem jądra atomowego i pracuje w Centralnym Laboratorium Ochrony Radiologicznej w Warszawie. Jako pisarz debiutował w roku 1961 w „Młodym Techniku”. Obecnie jest już autorem kilku zbiorów opowiadań i powieści, np. „Posłanie z piątej planety”, „Jad mantezji”, „Iluzyt”, „Lalande”. W druku są nowe zbiory opowiadań: „Ogon diabła” (KAW), „Feniks” (NK) i powieść pt. „Cała prawda o planecie Ksi” (KAW).

– Zdarza mi się również – powiedział w czasie naszego spotkania – pisywać słuchowiska radiowe, scenariusze do filmów popularno-naukowych oraz prace popularno-naukowe i fachowe. Zajmuję się nadto wieloma rzeczami, lecz przede wszystkim ochroną radiologiczną, bezpieczeństwem jądrowym i twórczością literacką, głównie fantastyczno-naukową. Urodziłem się dość dawno, zdołałem sobie wyrobić jaki taki pogląd na kilka spraw tego świata, który to świat jest tak interesujący w swej różnorodności, że nie sposób skoncentrować się na kilku jedynie przedmiotach zainteresowań. Wskutek tego rozkojarzenia, jak sądzę, w żadnej z wymienionych dziedzin nie osiągnąłem szczególnych sukcesów.

– Co Pana zdaniem – jest najważniejsze w fantastyce naukowej?

– Wydaje mi się, że rola fantastyki nie powinna ograniczać się do zabawiania czytelnika. Przede wszystkim powinna ona trochę bulwersować, niepokoić, pobudzać do innego nieco niż na co dzień sposobu myślenia i patrzenia na otaczającą nas rzeczywistość. Jest to na pewno konieczne w czasach, gdy rzeczywistość zmienia się dosłownie w naszych oczach.

Człowiek powinien być przygotowany na rozmaite warianty losów przyszłego świata, na nowości techniki, zmiany w stosunkach międzyludzkich. Jednym słowem, potrzebna jest pewna elastyczność myślenia, by nie dać się czymkolwiek zaskoczyć lub zbytnio zadziwić. Wszystko, co nowe i nieznane, budzi zwykle podejrzliwość i nieufność. A trudno przecież trwać w ciągłej nieufności do świata, w którym przyszło nam żyć. Tak więc, według mnie, cenne i ważne w fantastyce jest to, że posiada ona swój udział w kształtowaniu zdolności psychicznej adaptacji i akceptacji rzeczy nowych, rodzących się w naszej obecności. Zdolność taka zapobiegać powinna temu, co nazwano „szokiem przyszłości”.

Myślę, że fantastyka miała swój niemały udział w tym np., że lądowanie ludzi na Księżycu nie wprawiło nas w stan osłupienia, lecz zostało przyjęte jak fakt, który wcześniej czy później musiał nastąpić.

Z drugiej jednak strony istotnym zadaniem fantastyki jest także wszczepienie czytelnikom pewnej dozy krytycyzmu i sceptycyzmu wobec zachodzących zmian – aby zdawali sobie sprawę, że nowe nie zawsze znaczy dobre, że ze słusznych i pożytecznych na pozór posunięć i decyzji wyniknąć mogą nieprzewidziane i niepożądane skutki. Realizując to zadanie, fantastyka, moim zdaniem, powinna mieć prawo nawet do pewnej przesady w swych ekstrapolacjach. Bo czyż istnieje lepszy sposób wykazania niesłuszności pewnych tendencji niż... wyprowadzenie z nich jak najbardziej absurdalnych następstw?

– Czy nie sądzi Pan, że zadania te może spełniać futurologia, oparta na naukowych podstawach i metodach prognozowania przyszłości?

– Stosunek fantastyki naukowej do futurologiii można by z grubsza porównać ze stosunkiem powieści historycznej do historii, choć nie we wszystkim porównanie to oddaje istotę rzeczy. Fantastyka naukowa bez wątpienia nie pretenduje do roli źródła wiedzy o przyszłości. Futurologia – upraszczając sprawę – operuje metodą eksploatacji w przyszłości stosunków współczesnych, na podstawie istniejących i spodziewanych tendencji rozwojowych i wzajemnych oddziaływań poszczególnych dziedzin nauki, techniki i życia. Innymi słowy, wyznacza ona pewne najbardziej prawdopodobne stany docelowe, jakie nasza cywilizacja powinna osiągnąć w określonych terminach.

Fantastyka naukowa, wychodząc z podobnych danych wyjściowych, nie jest jednakże skrępowana regułą „największego prawdopodobieństwa”; spośród rozlicznych, mniej lub bardziej prawdopodobnych wariantów przyszłości, wybiera niekoniecznie te najbardziej prawdopodobne, lecz także te, które są pouczające, zaskakujące, śmieszne lub straszne – choćby o niewielkim (ale niezerowym) współczynniku prawdopodobieństwa realizacji. Fantastyka naukowa oscyluje zatem w granicach pomiędzy futorologią a swobodnym fantazjowaniem, między prawdopodobieństwem maksymalnym a zerowym.

– Czy fantastyka może kiedyś napotkać granicę, której nie zdoła przekroczyć; czy może się zdarzyć, że wykorzysta wszystko, co tylko wykorzystać można?

– Fantastyka naukowa czerpie z dwóch źródeł, zgodnie ze swą nazwą: z fantazji i nauki. Pierwsze z tych źródeł nie wyschnie, dopóki istnieć będzie ludzkość. Człowiek bowiem, w związku z pewnymi fizycznymi ograniczeniami narzuconymi przez naturę, nieustannie tęskni do twórczej wszechmocy, wszechwiedzy i wszechobecności, które to atrybuty – w mniejszym lub większym stopniu – ludzie przypisywali zazwyczaj swoim bogom. Niemożność realnego powołania do istnienia jakichś bytów czy obiektów istot światów, galaktyk, wszechświatów – człowiek kompensuje sobie tworzeniem ich w sferze fantazji. Z nauką natomiast fantastyka żyje w symbiozie (a nie, jak sądzą niektórzy, w stosunku pasożytniczym) – bo obie nawzajem czerpią ze swych pomysłów. Tak więc, naukowe wątki w fantastyce pojawiać się będą, dopóki człowiek będzie badał otaczający go świat – a tej działalności myśląca istota nie zaniecha nigdy, bo ogrom Nieznanego jawi się nam tym wyraźniej, im więcej wiemy.

Posłużę się tutaj moim ulubionym modelem: światem robaczka, zżerającego od środka ogromną kulę z żółtego sera. Z punktu widzenia takiego robaczka, który przez całe swe życie nie zdoła wygryźć się poza ogrom sera, ów ser jest całym światem; cały świat jest serem. Są jednakże różnie usposobione robaczki: jedne metodycznie i dokładnie wygryzają cały ser wokół siebie, tworząc coraz większe kuliste jamki; drugie – odważnie wgryzają się w ser, drążąc w nim długie, kręte korytarzyki, błądząc, wracając do punktu wyjścia i rozpoczynając znów wędrówkę, w nowym kierunku. Te pierwsze robaczki – to badacze naukowi, drugie zaś – naukowi fantaści...

– Czy pamięta Pan jakieś zabawne epizody związane z Pana twórczością w dziedzinie SF?

– Kilkanaście lat temu, kiedy dopiero zaczynałem pisać opowiadania fantastyczno-naukowe, zdarzyło mi się wysłać kilka z nich na konkurs rozpisany przez pewne czasopismo. Wprawdzie nie uzyskałem nagrody, ale moje opowiadania zakwalifikowano do druku. Nim jednakże ukazało się jedno z nich, w stałej rubryce tego czasopisma felietonista (zresztą, także pisarz SF) posłużył się pomysłem zawartym w moim opowiadaniu. Byłem tym niezmiernie wzburzony, bo pomysł wydawał mi się nader oryginalny, a jego wcześniejsza publikacja „kładła” moje opowiadanie, mające się ukazać w następnym numerze, a co więcej, podważała autorstwo pomysłu... Zatelefonowałem więc z pretensjami do autora felietonu i zażądałem, aby łącznie z opowiadaniem ukazała się odpowiednia notka wyjaśniająca sprawę. Moje żądanie zostało spełnione, a autor felietonu przeprosił mnie za niezamierzony incydent, który jak wyjaśnił, nastąpił wskutek tego że... wydawało mu się, iż mój pomysł był gdzieś opublikowany jako doniesienie naukowe... (a tymczasem znał go z mojego opowiadania, które czytał jako członek jury konkursowego). Ten drobny incydent nie pociągnął za sobą jednakże wzajemnych animozji. Z owym autorem jesteśmy do dziś w bardzo dobrych stosunkach.

– Czy może Pan powiedzieć, kto to był?

– Myślę, że mogę. To był redaktor Krzysztof Boruń. Później przekonałem się, jak łatwo może dojść do zadziwiających zbieżności w twórczości różnych autorów. Na przykład moje opowiadanie pt. „Sami”, które powstało w 1962 roku, mogłoby być uznane za konspekt powieści Briana Aldissa „Non stop”, która powstała o kilka lat wcześniej, a w Polsce ukazała się po raz pierwszy dwa lata temu. Słowo daję, że nie miałem w ręku oryginału, ani też nie znałem wówczas języka angielskiego...

Inna zabawna zbieżność istnieje w opowiadaniach: „Rozprawa” Stanisława Lema i moim – „Metoda doktora Quina”. U Lema (filmowa wersja nosi tytuł „Test pilota Prixa”) chodzi o identyfikację robota wśród „normalnych” ludzi na statku kosmicznym, u mnie – o identyfikację agenta obcej cywilizacji wśród nienormalnych byłych kosmonautów w zakładzie zamkniętym. Nie to jest tu niezwykłe, bo podobny schemat akcji pojawia się w wielu nowelach, np. kryminalnych. Zadziwiające jest natomiast, że w obu opowiadaniach główni bohaterowie nazywają się niemal identycznie; Quine i Quin. Opowiadanie napisałem przed ukazaniem się tomu zawierającego opowiadania S. Lema.

Jedną z najbardziej przykrych rzeczy, jakie mogą spotkać autora fantastyki, jest... zbyt szybka realizacja jego oryginalnych wizji. Mnie także zdarzyło się kilkakrotnie, że rzeczywistość dogania moje fantastyczne pomysły, nim zdążyłem przedstawić je w formie opowiadań. Lecz w takich przypadkach można się przynajmniej pocieszyć, że ma się genialną intuicję...

– Jest Pan, jak z tego wynika, raczej optymistą?

– Po prostu staram się widzieć lepsze strony każdej sytuacji. Optymistą zaś jestem umiarkowanym...

– Czy dopatrzyłby się Pan dobrych stron także np. w inwazji obcej, wrogiej nam cywilizacji?

– Oczywiście. Inwazja taka miałaby jeden niewątpliwie pozytywny skutek; uświadomiłaby wszystkim fakt, że żyjemy na jednej planecie i wyzwoliła poczucie solidarności wobec wspólnego zagrożenia. Przynajmniej na czas trwania niebezpieczeństwa.

– Nie na dłużej?

– Powiedziałem, że jestem umiarkowanym optymistą...

– A jaki jest Pana osobisty stosunek do postępu nauki i techniki? Czy akceptuje Pan bez zastrzeżeń wszystkie owoce postępu technicznego?

– Moje dwie pierwsze książki o podróżach w kosmos, robotach i innych fantastycznych wynalazkach pisałem przy świetle lampy naftowej. Nie wynikało to jednak z niechęci do elektryczności, lecz z moich ówczesnych warunków mieszkaniowych. Ale samolotami latam bardzo niechętnie, bowiem według mnie prawdopodobieństwo wypadku lotniczego jest wprawdzie znikome w chwili wsiadania do samolotu, lecz w chwili jego spadania – niepokojąco bliskie jedności. (Dotąd nie udało mi się stwierdzić, jak kształtuje się przebieg funkcji określającej wzrost tego prawdopodobieństwa w czasie trwania lotu...). Tak oto przedstawia się mój stosunek do postępu technicznego: bez fanatycznego uwielbienia, ale też i bez panicznego lęku.

Rozmawiał
SŁAWOMIR W. MALINOWSKI
Fot. **autora**

KONKURS MORSKI – NIESPODZIANKA

Centrum Wychowania Morskiego i Wodnego
GK ZHP

KUPON
10
KONKURSOWY

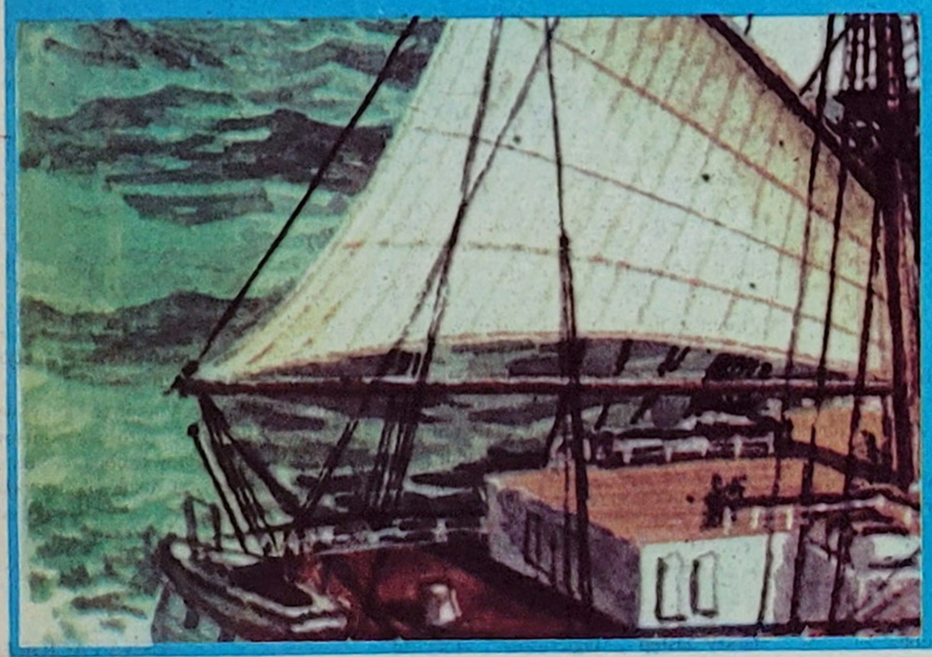

NR KONTA:
NBP I Oddział Gdańsk
Nr 150–2743–132
„DAR MŁODZIEŻY”

OPERACJA BAZA „AZYMUT 80”

NA FINISZU

BYTÓW (HSI). Operacja Baza – „Azymut 80” to programowa akcja Komendy Hufca ZHP Bytów, mająca na celu zagospodarowanie i urządzenie stałej bazy obozowej hufca w Rekowie (11 km od Bytowa), u stóp najwyższego wzniesienia w województwie słupskim – Góry Siemierzyckiej – 256 m npm. Założeniem Operacji jest sukcesywne zagospodarowanie terenu i wyposażenie go w stałe urządzenia.

Program Operacji realizowany jest w czterech kierunkach: turystyka, sport, praca społeczna i kultura. W ramach kierunku turystyka – harcerze poznają i odkrywają nowe szlaki turystyczne, organizują zwiady terenowe w poszukiwaniu pomników przyrody i folkloru. Kierunek sport – to kiermasz najróżniejszych konkurencji sportowych, w których harcerze mogą spróbować własnych sił w rywalizacji z innymi, gry terenowe, sporty wodne i budowa obozowej ścieżki zdrowia. W ramach prac społecznych harcerze pracują przy urządzaniu bazy obozowej, opiekują się okolicznymi Miejscami Pamięci Narodowej, pomagają rolnikom w podeszłym wieku i członkom ZBoWiD w pracach gospodarskich i polowych. Kierunek **kultura**, to głównie realizacja takich haseł programowych jak: „Poznajemy folklor ziemi bytowskiej”, „Co wiem o regionie, na którym obozuję” oraz „Tobie Ojczyzno myśli i czyny”. Operacja trwa od 1978 roku i podzielona była na trzy etapy. W pierwszym etapie udział wzięło ponad 100 harcerzy i instruktorów. Tego roku doprowadzono do obozu energię elektryczną. Zeszłoroczny, drugi etap Operacji zakończył się udziałem 450 harcerzy i instruktorów oraz doprowadzeniem do obozu wody. W ostatnim, tegorocznym etapie weźmie udział blisko 900 harcerzy i instruktorów. Wybudowany zostanie obiekt, w którym miejsce znajdzie kuchnia obozowa, stołówka oraz magazyn sprzętu obozowego.

Mając wielu sojuszników harcerze bytowscy są przekonani, że do końca tego roku, na zakończenie Operacji baza obozowa Hufca ZHP Bytów w Rekowie będzie gotowa do przyjęcia dzieci już nie tylko z Bytowa, ale w ramach wymiany również z innych regionów Polski. **(kż)**

LATO Z WIERSZEM

JELENIA GÓRA '80

* * *

tak bardzo chciałbym być listkiem
listkiem – może z czubka drzewa
cień chciałbym dawać wszystkim
chciałbym na wietrze powiewać...
tak bardzo chciałbym być listkiem
listkiem – sercem zieleni
chciałbym radować wszystkich
i innych w zieleń zamienić...

* * *

napiszę choć serce nie chce
napiszę wszystko co myślę
napiszę o mojej trosce
i w świat poezji wyślę...

Staszek z Kielc
– laureat V Turnieju Poetyckiego „NIEBIESKA TARKA”

Fragmentami wierszy Staszka kończymy „Lato z wierszem”. Organizowany przez klub HSPS przy Zespole Szkół Rzemiosł Artystycznych w Jeleniej Górze konkurs, na który nadesłano wszystkie drukowane tu utwory, po raz szósty ogłoszony zostanie zimą. Być może i na naszych łamach...

Wielka woda

Na jej przybycie przygotowywano się od tygodni. Przez cały czas umacniano workami z piaskiem wały przeciwpowodziowe. Ewakuowano ludzi i sprzęt z terenów najbardziej zagrożonych. Bez chwili wytchnienia pracowali nad Wisłą żołnierze, junacy OHP i strażacy. Przy wałach przeciwpowodziowych w Warszawie czuwano dzień i noc, aby w każdej chwili stawić czoła kulminacyjnej fali powodziowej, która zbliżała się do stolicy.

Te zdjęcia wykonał nasz fotoreporter w kilka godzin po przejściu wielkiej wody. Jej największy poziom wynosił 727 cm! W niektórych miejscach woda wdarła się przez obwałowania, ale w przeważającej części worki z piaskiem zatrzymały żywioł. W informacji Stołecznego Komitetu Przeciwpowodziowego podano, że na terenie miasta rzeka zalała około 160 ha użytków rolnych położonych przed wałem ochronnym. Pod wodą znalazło się także kilka warszawskich ośrodków wypoczynkowych, m. in. widoczny na zdjęciu zespół basenów kąpielowych położonych tuż przy Wiśle. Nic nie ucierpiała należycie zabezpieczona konstrukcja budowanego właśnie Mostu Toruńskiego, ale większość prac trzeba było przerwać na okres przechodzenia kulminacyjnej fali.

W rzeczywistości fala dość spokojnie przeszła przez Warszawę i skierowała się w rejon Modlina i Wyszogrodu. Ta spokojna kulminacja była przede wszystkim zasługą służb przeciwpowodziowych, które ofiarnie walczyły z żywiołem. **(kż)**

Fot. **Marek Szymański** i **CAF**

Dziennik zajęć obozu zawiera lakoniczne informacje o stanie pogody. U nich, w Wojkówce było tak: dzień pierwszy – słonecznie, lekki wiatr, dzień drugi – pochmurnie opady deszczu, dzień trzeci i czwarty – jak wyżej, dzień piąty – bardzo duże opady deszczu. I uwaga: **opady spowodowały zagrożenie ze strony rzeki Wisłok dla całego obozu.** Wprowadzono stałe dyżury kadry nad rzeką. Ogłoszono stan gotowości obozu do ewakuacji.

– Zagrożenie było spore – mówi komendant dh Włodzimierz Rzońca. – Ale mając sygnały, że woda w górnym biegu się nie podnosi, po kilku godzinach alarm odwołaliśmy.

Obóz harcerskich i młodzieżowych drużyn pożarniczych mógł znów realizować swój program szkoleniowo-wypoczynkowy. Chociaż zapisy w dzienniku codziennie notowały opady (kwatermistrz obliczył, że najdłuższa przerwa między nimi wyniosła 37 godzin). Nikt z obozowiczów nie przypuszczał, że wkrótce woda da znać o sobie...

EWAKUACJA

Był piętnasty dzień obozu. Po południu jak zwykle lunęło. Mietek z Piotrkiem poszli nad rzekę. Nie wyglądała zbyt groźnie.

– Pewnie nas nie zaleje. Już raz był alarm i nic.

– A u nas w Kołaczycach tamtym razem całą wioskę zalało.

Przyglądali się zmąconym falom taszczącym jakieś kloce. Obóz leżał nad samą rzeką. Po ostatniej ulewie dziewczyny z zastępu „Źródełek" przekonały się, że ich nazwa jest najbardziej trafna – przed namiotem stała woda po kostki. Chłopcy musieli przenieść namiot świetlicy na suchsze miejsce.

– Kino przyjechało! Będzie „Test pilota Prixa". Chłopcy pomagali ustawić sprzęt. Na warcie stała Małgosia z Teresą.

– Poszłam do nich – wspomina Marysia. – Patrzymy, a jakiś człowiek jedzie na motorze, macha rękami i krzyczy, że będzie powódź. Odesłałyśmy go do komendanta. Wróciłam do namiotu i mówię dziewczynom, żeby się pakowały. Nie chciały wierzyć. Złapały za plecaki dopiero po komunikacie. Była godz. 20.30.

– UWAGA OBÓZ! UWAGA OBÓZ! Mówi komendant! Ogłaszam alarm stopnia pierwszego dla całego obozu!

– Około godz. 20.15 – mówi komendant otrzymaliśmy pierwszy meldunek, że w Krośnie wystąpiła nienotowana od 100 lat fala powodziowa. Podobno nad Miejscem Piastowym oberwała się chmura. Woda zasiliła Lubatówkę, która właśnie w Krośnie wpada do Wisłoka. Obóz był zlokalizowany kilkanaście kilometrów dalej. U nas akurat przestało padać. Chyba nawet trochę bez przekonania ogłosiliśmy alarm, żeby się młodzież spakowała. Miejscowi uspokajali nas, że tu nigdy nie było powodzi. Jeszcze sobie tego nie wyobrażaliśmy. Od dyżurujących na mostach w Odrzykoniu i Bratkówce dostaliśmy sygnał, że idzie 2-metrowa fala. Zaalarmowałem 4 jednostki straży pożarnej. Zaczęliśmy likwidację obozu.

W namiotach było już ciemno. Niektóre baterie wysiadły od nadmiaru wilgoci.

– U nas – mówi Marysia – tylko cztery świeciły.

– Myłam akurat buty w umywalni – mówi Basia – gdy usłyszałam komunikat. Biegiem do namiotu. A tam panika. Pakowałyśmy co pod rękę popadło.

Ta krzątanina trwała ok. 15 minut. Przerwał ją kolejny komunikat:

– Uwaga obóz! Uwaga obóz! Zbiórka zastępów z plecakami, przed namiotem komendy.

– Gdy ktoś powie ewakuacja – mówi Marysia – to zaraz przypomina mi się widok: dwa długie rzędy kasków w mroku. I rozkaz komendanta, że opuszczamy obóz.

Zbiórka odbyła się dość sprawnie. Pod wodzą instruktorów odmaszerowali do odległej o kilkaset metrów szkoły. Zostawili plecaki. Przybiegli z powrotem. Ratować co się da. Tyle sprzętu zostało. Śpiwory, poduszki, materace. Przenosili je do szkoły. Mieszkańcy Wojkówki wyszli akurat z dyskoteki. – Co to, strażacy i wody się boją? Nie macie się co spieszyć, tu na pewno woda nie dojdzie.

– Zwróciłem się przez głośniki – mówi komendant – do ludności, o pomoc w ewakuacji. Warunki były trudne. Ciemno, obóz tonął w błocie. Co chwila przechodziły intensywne opady. A dobytku mieliśmy sporo: 24 N-Sy, 10 namiotów kadry, około 100 łóżek. Na mój apel przyjechały 2 ciągniki z przyczepami. Mieszkańcy Wójkówki pomagali zwozić sprzęt do remizy. Wszystko było wymieszane z błotem.

Woda przyszła około 23.00. Wzbierała do 1.00. Obóz pokryła jej ponad półtorametrowa warstwa. Woda przelewała się oknami NS-ów. Ale najważniejsze, że młodzież była w bezpiecznym miejscu. Przy likwidacji obozu pracowali dorośli. I najstarszy zastęp „Magierusów", który do pierwszej w nocy rozładowywał sprzęt w remizie. Nie wszystko zdołano uratować. Woda zalała magazyn żywności. Porwała część wyposażenia. Zamokło wiele śpiworów i materaców.

Uczestnicy obozu nie wyobrażali sobie nawet jaki widok ujrzą rano. Układając się do snu w ciasniutkich pomieszczeniach i korytarzach marzyli o tym, by jutro wrócić do obozu. Niestety, woda ani myślała ustąpić. Porwała kładkę, zatopiła plac apelowy. Tylko budka wartownika została na miejscu.

– Tyle dni się urządzaliśmy – mówi Kazik – i wszystko w ciągu jednej nocy zostało zniszczone.

Teresie najtrudniej było się rozstać z Martą. Poznały się tu na obozie, zaprzyjaźniły. Teraz dzieli je szyba autokaru, a pod powiekami robi się dziwnie mokro. W dzienniku zajęć zanotowano: **Wyjazd uczestników spowodowany całkowitym zalaniem terenu obozu.**

Niestety obóz w Wojkówce nie był wyjątkiem. W tymże woj. krośnieńskim musiano również ewakuować obozy w Bóbrce i Pieńsku. Straty są duże. Na przykład namioty w Bóbrce zostały zalane wodą wymieszaną z ropą i nie nadają się już do użytku. Jak ocenia szef akcji letniej KCH ZHP w Krośnie, dh Zdzisław Łącki, straty sięgają 2 mln zł.

ANNA PACIOREK

GWIAZDOZBIÓR

ROZMOWA

Z TADEUSZEM KANTOREM

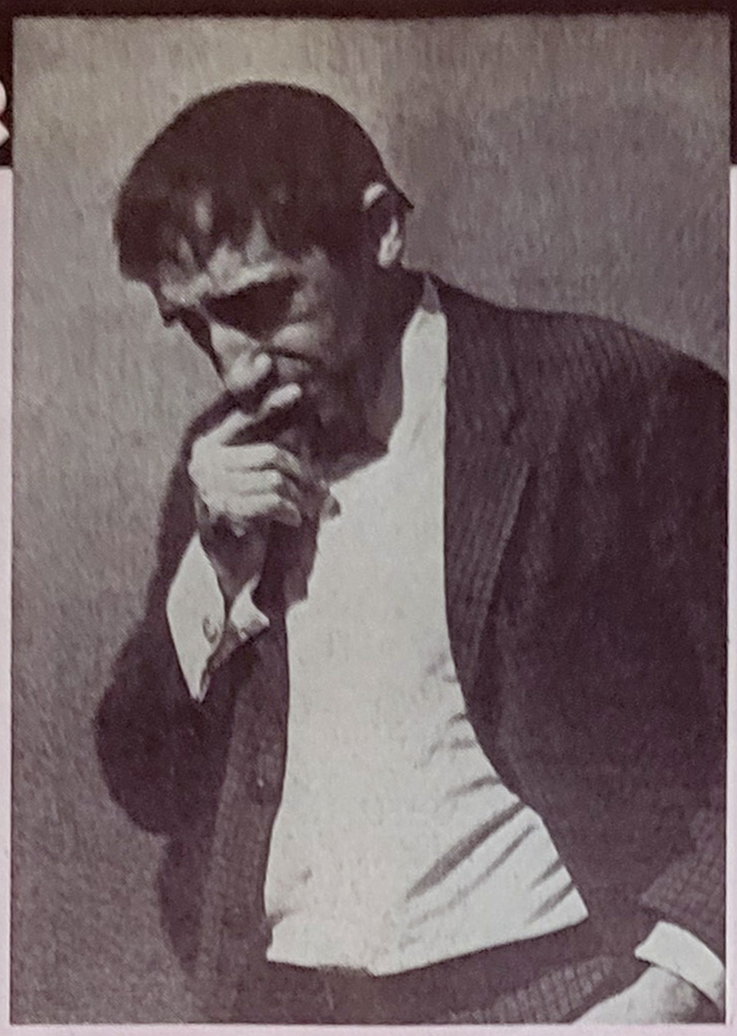

– *Odniósł Pan i kierowany przez Pana teatr „Cricot-2" wielki sukces, wystawiając ostatnio we Florencji spektakl „Wielopole, Wielopole". Czy mógłby Pan podzielić się swymi wrażeniami?*

– Jestem nimi jeszcze przytłoczony. Tuż przed premierą wydawało mi się, że to się w ogóle nie uda. Składający się z autonomicznych scen spektakl zrodził się właściwie dopiero w trakcie przedstawienia premierowego. Struktura sztuki wynika ze spontaniczności działania; taką która nas zadowoliła, osiągnęliśmy podczas premier.

– *Jak to się stało, że „Cricot-2" nawiązał współpracę z Florencją?*

– Zostaliśmy zaproszeni przez władze tego miasta i tamtejszy teatr Regionale Toscano. Od początku naszym przygotowaniom towarzyszyło ogromne zainteresowanie. Mieliśmy nawet kłopoty w czasie prób, bo z całej Europy, ba świata, zjeżdżali do nas młodzi ludzie pragnący bądź zostać aktorami lub choćby tylko popatrzeć na to co robimy. Siedmiu z nich zostało zaangażowanych i występuje w przedstawieniu.

Przyjeżdżali także z konkretnymi propozycjami występów dyrektorzy teatrów z Francji, RFN, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii, a nawet z Japonii.

– *Przygotowywał Pan „Wielopole, Wielopole" niemal pół roku...*

– Tak, spektakl ten składa się z pięciu jak już wspominałem – autonomicznych scen „ślub", „łżenie", „ukrzyżowanie", „Pożegnanie Adasia" oraz „Ostatnia wieczerza". W sumie dysponowaliśmy materiałem aktorskim wystarczającym na 6–8-godzinne przedstawienie, chociaż „Wielopole, Wielopole" trwa – podobnie jak „Umarła klasa" godzinę i dwadzieścia minut. Dodam jeszcze, że spektakl kosztował około 400 milionów lirów, co nam wydawało się wielką sumą; nasi włoscy mecenasi kwitowali to jednak grzecznymi uśmiechami i narzekaniami jak drogie są... inne przedstawienia.

Pamiętam, że mieliśmy mnóstwo kłopotów z tzw. scenografią. Rzecz dzieje się bowiem w pokoju, gdzie bohaterowie spektaklu robią rzeczy zwykłe, nieważne, nieistotne. Clou widowiska dzieje się w przedpokoju, a nie chcąc przy tym obudowywać się dekoracjami, wymyśliłem m. in. ściany na kółkach. Podczas prób – kiedy w różny sposób ustawialiśmy owe ściany, zauważyłem, że aktorzy przyzwyczajeni do gry twarzą do widowni, zwracają się zawsze tam, gdzie brakuje jednej ze ścian umownego pokoju. Grając wtedy bokiem do widza są niezwykle realni. Na razie nie wykorzystałem, a nawet nie określiłem jeszcze tego spostrzeżenia, ale sądzę, że kiedyś to zrobię.

– *Teatr „Cricot-2", którym Pan kieruje jest dziś zjawiskiem artystycznym, które wzbudza ogromne zainteresowanie za granicą. Czym tłumaczy to Pan, twórca i kierownik teatru?*

– To nie jest sprawa talentu, ale pewnego założenia. Ostatnio wśród swoich dokumentów znalazłem pracę, która powstała w okresie moich studiów, w Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych – a która dotyczyła inscenizacji „Dziadów" Mickiewicza. Napisałem wtedy, że ceniąc patriotyczne, narodowe treści w jego twórczości trzeba jeszcze podczas interpretacji nadać jego dziełom znamiona uniwersalizmu. Mickiewicz oprócz tego, że był wielkim patriotą, był także wielkim nowatorem, rewolucjonistą teatru. Ja sam zawsze chciałem tworzyć sztukę uniwersalną i nadal chcę ją tworzyć tak, by była zrozumiała dla przedstawicieli całej kultury europejskiej.

– *A jaki charakter ma Pana ostatnia sztuka, o której prasa włoska pisała, że jest niezwykle polska. Myślę o „Wielopolu, Wielopolu"?*

– To jest sztuka symboliczna, bowiem uznają symbolizm, za coś, co w obecnej degrengoladzie kultury technicznej może nas uratować. Nas, czyli nasze psychiki.

– *Jest Pan twórcą zajmującym się oprócz teatru także malarstwem. Jaki wpływ mają sztuki plastyczne na pańską działalność teatralną?*

– Nie jestem reżyserem, który korzysta w trakcie swej pracy z własnych doświadczeń plastycznych. Nie zgadzam się z reżyserami, którzy to robią. Swoim malarstwem chciałem i chcę przyczynić się do rozwoju malarstwa, a w teatrze nie korzystam z tego lecz – co oczywiste – ze swojej natury malarza. Tworząc np. kostiumy, tworzę dzieło sztuki. To musi być tak dobre, aby rekwizyty z naszych spektakli mogły być eksponowane w galeriach czy muzeach.

– *Jak określiłby Pan teatr „Cricot-2"?*

– To teatr na pewno awangardowy, sięgający bardzo często do teatralnego eksperymentu. Ma jednak w sobie coś z jarmarcznej – objazdowej budy, tak jak i tam i w naszym teatrze po spektaklu zostają szczątki dekoracji. Do publiczności wychodzą zmęczeni aktorzy. To dla nas pracujących w „Cricot-2" jest szalenie liryczne.

– *Dziękując za rozmowę chciałem jeszcze zapytać, jakie plany artystyczne ma teatr „Cricot-2"?*

– Najpierw festiwal w Edynburgu, później festiwal jesienny w Paryżu, a następnie występy w Londynie, tournée we Włoszech i wreszcie w listopadzie z „Wielopolem, Wielopolem" wystąpimy w Polsce – w Krakowie i najprawdopodobniej w Warszawie.

Rozmawiał
ZBIGNIEW KRZYSZTYNIAK
(PAP)

Mówi „Minister dzieci"

W stolicy Armenii, Erewaniu, powstaje Centrum Wychowania Estetycznego Dzieci, które połączy wiele takich instytucji jak dziecięca galeria obrazów, teatr dziecięcy, filharmonia, warsztaty grafiki, malarstwa, architektury, rzemiosła ludowego. Dyrektorem tej unikalnej placówki będzie malarz i znawca sztuki, Genrich Igitian.

„Ministrem dzieci" zaczęto go nazywać dziesięć lat temu, kiedy Genrich Igitian został inicjatorem utworzenia, a później dyrektorem pierwszej w świecie Erewańskiej Dziecięcej Galerii Obrazów.

– W swojej działalności – mówi Igitian – zawsze kieruję się słowami ojca malarstwa armeńskiego Martirosa Sarjana: ***„Życie dziecka to bajka. Ono zawsze patrzy na świat oczami malarza. My, dorośli, zobowiązani jesteśmy pielęgnować zarodki piękna w duszy dziecka. Z każdego dziecka może wyrosnąć artysta."***

Dziecięca Galeria Obrazów stała się pierwszą instytucją, w której zbiera się i bada dzieła małych twórców. Dzisiaj urządzane są tu regularnie wystawy prac dziecięcych, w tym i małych cudzoziemców – z Anglii, USA, Japonii, Francji, Włoch, Finlandii, Kanady... Z kolei prace dzieci armeńskich były wystawiane na ponad 100 wystawach za granicą.

– Galeria erewańska – mówi Igitian – łączy w sobie cechy muzeum i szkoły. Każdy wernisaż jest wielostronnie oceniany, przy czym w roli „krytyków" występują dzieci. Pracownicy galerii i wielu entuzjastów-profesjonalistów prowadzą wykłady o sztuce dla młodzieży, pomagają początkującym w pracy. Obecnie zbiory naszego muzeum liczą około 200 tys. rysunków.

– Czy Centrum Wychowania Estetycznego jest potrzebne?

– Pytanie to zadaje każdy, kto orientuje się w organizacji wychowania dzieci w Armenii. W każdej szkole wprowadzono obowiązkową naukę modelowania i rysunku. W wielu miastach i wsiach istnieją galerie obrazów, kierowane przez uczniów i kontynuatorów Igitiana. W pałacach pionierów działają różnorodne kółka zainteresowań. Jednocześnie „minister dzieci" zaczął organizować Centrum i rząd dał na to milion rubli. Dlaczego?

– Zadania naszego Centrum będą trochę inne – mówi Genrich Igitian. – Przecież dzieci nie mają przez cały czas jednakowych zainteresowań i uzdolnień. Nie ukrywamy, że w przyszłości chcemy widzieć naszych wychowanków w roli działaczy kulturalnych. Oprócz tego w pracy z dziećmi nie ograniczymy się do jednej tylko strony wychowania estetycznego. Dziecko w wieku 13–14 lat w większości wypadków przestaje się interesować rysunkiem. Pamiętamy: „Życie dziecka to bajka". Właśnie w tym wieku rozstaje się ono z bajką. Często „nie ma dokąd pójść". Możliwe, że prawdziwe powołanie ciągnie je w inną dziedzinę. Centrum ma za zadanie wykryć to powołanie. Dlatego też połączy ono w sobie teatr dziecięcy, w którym reżyserzy i aktorzy będą mieli po 8–15 lat, warsztaty rzeźby, architektury, ceramiki, strojów ludowych, bibliotekę, kino, filharmonię i w końcu punkt konsultacyjny dla pedagogów prowadzących w szkołach lekcje estetyki i rysunku.

Centrum budowane jest w szybkim tempie. Ostatnio powstaje amfiteatr, opracowywany jest projekt parku z basenem i torem żużlowym... O czym może jeszcze marzyć Genrich Igitian?

– Nie wszystkie marzenia można przekształcić w budowle – mówi malarz. – Jest jeszcze wiele do zrobienia. Marzę o chwili, kiedy nasze Centrum stanie się pierwszym w świecie nie tylko ze względu na datę powstania. Marzę o utworzeniu przy nim naukowo-badawczego instytutu wychowania estetycznego dzieci.

ARMEN CHANBABIAN
(APN)

DOM MODY świata młodych

I ciągle warkocz

Wszystkim dziewczynom, posiadaczkom długich i półdługich włosów, które mają problem z wyborem odpowiedniej fryzury (a takich listów sporo się zebrało), w dalszym ciągu odpowiadam w ten sam sposób – warkocz. Albo różne warkoczopodobne kombinacje.

Bo po pierwsze – warkocze są ciągle szalenie modne, a nawet jakby jeszcze modniejsze się stały; bo po drugie – praktyczna to fryzura ogromnie, długie włosy nie majtają się bezładnie wokół oczu, nosa, ust; bo po trzecie – wdzięk w warkoczu jest szalony i nastolatce warkocz (i pochodne warkocza) bardzo naprawdę pasuje.

Różne warkoczowe propozycje (bynajmniej nie wszystkie możliwe, jest ich bowiem multum prawdziwe) przedstawiam na zdjęciach obok. Wśród nich jedna jest szalenie ekstrawagancka (i pracochłonna zresztą też bardzo) – kilka cienkich warkoczyków związanych z tyłu w zabawny kucyk. Nie radziłabym jej stosować w sytuacjach codziennych (np. do szkoły – odradzam), ale w wypadku całkiem extra, np. na jakąś ważną dla człowieka prywatkę, nadaje się jak najbardziej. Pozostałe natomiast można z powodzeniem stosować na co dzień. Zwłaszcza zapleciony w długi warkocz koński ogon czy tzw. „korona", czyli warkocz owinięty dookoła głowy i przymocowany spinkami – są i bardzo skromne, i mało pracochłonne, i ogromnie urokliwe zarazem. I niemal każdej dziewczynie w którejś z tych dwóch fryzur będzie bardzo ładnie.

Jeśli ktoś nade wszystko kocha mieć włosy rozpuszczone, też można je połączyć z jakimś elementem warkoczowym, który albo ściąga przednią część włosów do tyłu (nie majtają się wtedy dookoła twarzy), albo po prostu jest to niewielki warkoczyk służący jedynie ozdobie. Jeśli wplecie się w niego kolorową wstążeczkę (albo sznurek małych koralików – to już bardziej wizytowa kombinacja), ozdoba będzie bardziej się rzucająca w oczy. Taki mały warkoczyk – ozdobnik można sobie zafundować nawet przy włosach całkiem krótkich.

Zapraszam do obejrzenia zdjęć i do refleksji na temat własnej fryzury.

RIUSZKA

TO BYŁ ZLOT!

Tegoroczny Zlot Wychowanków Państwowych Domów Dziecka woj. siedleckiego odbył się w Państwowym Pogotowiu Opiekuńczym w Izdebnie koło Łaskarzewa.

Wszystkie imprezy odbywały się w budynku, gdyż pogoda nie dopisała. Nasz Zlot trwał 3 dni. Pierwszego dnia można było obejrzeć wystawę rękodzieła i program artystyczny poszczególnych Domów Dziecka. Zachwycały zwłaszcza piękne ludowe stroje. Trzeba przyznać, że jeszcze troszkę, a nasi tancerze dorównają niemal Mazowszu. W drugim dniu Zlotu zorganizowano wycieczkę do pobliskiej Woli Okrzejskiej – miejsca urodzenia Henryka Sienkiewicza. W tym samym czasie dzieci, które nie pojechały na wycieczkę mogły wziąć udział w loterii fantowej, w której wszystkie losy wygrywały.

Tego samego dnia odwiedził nas pan Tadeusz Taworski – dyrektor ZOO w Płocku. Pan dyrektor przywiózł ze sobą najprawdziwszą, żywą lwicę Karolinę (zaledwie sześciomiesięczną), padalca oraz pseudo-kobrę (bardzo podobną do prawdziwej).

Z Karolinką było nieco zamieszania, bo wypuszczona z samochodu przez nasze przedszkolaki, zaczęła się z nimi bawić. Fakt ten wzbudził popłoch nie wśród maluchów, bo bawiły się świetnie, tylko wśród naszych wychowawców. Pan Taworski pokazał nam mnóstwo wypchanych zwierząt, argentyńskie lasso i opowiedział o swoich przygodach w czasie pobytu w Argentynie.

Z kolei po południu odwiedzali nas artyści Estrady Warszawskiej – iluzjonista i Indianin w przepięknym stroju indiańskiego wodza.

Zabawa była doskonała, szczególnie młodsi chłopcy asystowali wiernie iluzjoniście. Można było wziąć udział w konkursie na naśladowanie głosu samochodów wyścigowych (Formuła I), w jeździe konno (krzesła musiały zastąpić konie).

Wieczorem zaś, po kolacji, była wspaniała dyskoteka. Bawili się wszyscy, przedszkolaki również. Było fajnie. Nazajutrz był już ostatni dzień naszego Zlotu.

Wszyscy otrzymali drobne podarki i znaczki Zlotu ZW Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Rejon Dróg Publicznych w Garwolinie ufundowały dla naszych kolegów 5 książeczek mieszkaniowych. Potem z dyplomami i 20 tysiącami złotych, które WRZZ przeznaczyło dla każdego Domu Dziecka poszliśmy zwijać namioty.

Pożegnaniom nie było końca. Były nawet łzy. Za to, jakby na przekór naszym łzom wyjrzało słoneczko. Spotkamy się za rok!

Joanna Jelińska
uczestnik
III Zlotu Wychowanków
Państwowych Domów Dziecka
woj. siedleckiego

Mam dziś dwie bardzo ciekawe wypowiedzi (wybrane spośród wielu innych), a dotyczące głośnego projektu znanego pod kryptonimem „Dedal". Chodzi o realizację międzygwiezdnej wyprawy na odległość 6 lat świetlnych, a konkretnie do Gwiazdy Barnarda. Mimo iż projekt „Dedal" teoretycznie jest możliwy do zrealizowania, należy być ostrożnym w podawaniu terminu startu. Wydaje się, że wiele jeszcze lat upłynie na badaniu Układu Słonecznego, nim ziemskie statki skierują się do innych gwiazd. Niemniej projekt „Dedal" zasługuje na uwagę.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

NIEZWYKŁY PROJEKT „DEDAL"

Chciałbym przytoczyć wiadomość co prawda nie na aktualny temat, ale na temat fantastycznego projektu podróży międzygwiezdnej, który moim zdaniem jest arcyciekawy. Otóż ekipa wybitnych specjalistów brytyjskich pracuje obecnie nad realizacją niesłychanie ambitnego przedsięwzięcia, które może być urzeczywistnione już w przyszłym stuleciu. Odległy to czas, ale chodzi o zamierzenie wręcz fantastyczne, mianowicie o podróż międzygwiezdną automatycznego statku ku systemowi słonecznemu Gwiazdy Barnarda. Taką właśnie wizję nakreśliła przed sobą ekipa 11 Brytyjczyków – astronomów i specjalistów rakietowych. Poświęcają oni cały swój wolny czas na studia i projektowanie pojazdu zdolnego do osiągnięcia celu, uważanego przez wielu ekspertów za rzecz niemożliwą – dotarcie do gwiazdy w czasie trwania życia ludzkiego.

Celem uczonych jest, jak już wspomniałem, Gwiazda Barnarda, odległa o 56 bilionów km, zbyt blada aby można było ją dostrzec gołym okiem. Nawet światło, któremu wystarcza niespełna sekunda do przebycia odległości między Ziemią a Księżycem potrzebuje 6 lat na dotarcie do tego obiektu. Przy zakładanej szybkości maksymalnej 150 mln km/godz., projektowany pojazd dotarłby do wyznaczonego mu celu po upływie 48 lat. Astronomowie i autorzy projektu wybrali Gwiazdę Barnarda, gdyż istnieje przypuszczenie, iż posiada ona system planetarny bardzo podobny do naszego.

Studiując mechanizmy napędu niezbędnego dla statków międzyplanetarnych, inż. Alan Bond, wybitny brytyjski specjalista rakietowy odkrył zaskakujący fakt. Możliwość takiego napędu stwarza reakcja termojądrowa (w sposób niekontrolowany zachodzi ona na Słońcu i w bombie wodorowej, kiedy to jądra lekkich atomów łączą się z sobą, wyzwalając przy tym olbrzymie energie). Zdaniem Alana Bonda właśnie pojazd zaopatrzony w taki napęd mógłby osiągnąć gwiazdę i to w czasie trwania życia ludzkiego, przy czym faza jego realizacji mogłaby się rozpocząć na początku XXI wieku. Alan Bond, twórca m.in. rakiety Blue Streak, kierujący wspomnianą akcją uczonych, nazwał opracowywane plany „projektem Dedala", od nazwiska legendarnego latającego człowieka z mitologii greckiej. Zauważmy w tym miejscu, że British Interplanetary Society, które przejęło protektorat nad ekipą, zaprojektowało w 1930 r. statek księżycowy, uderzająco podobny do pojazdu Apollo.

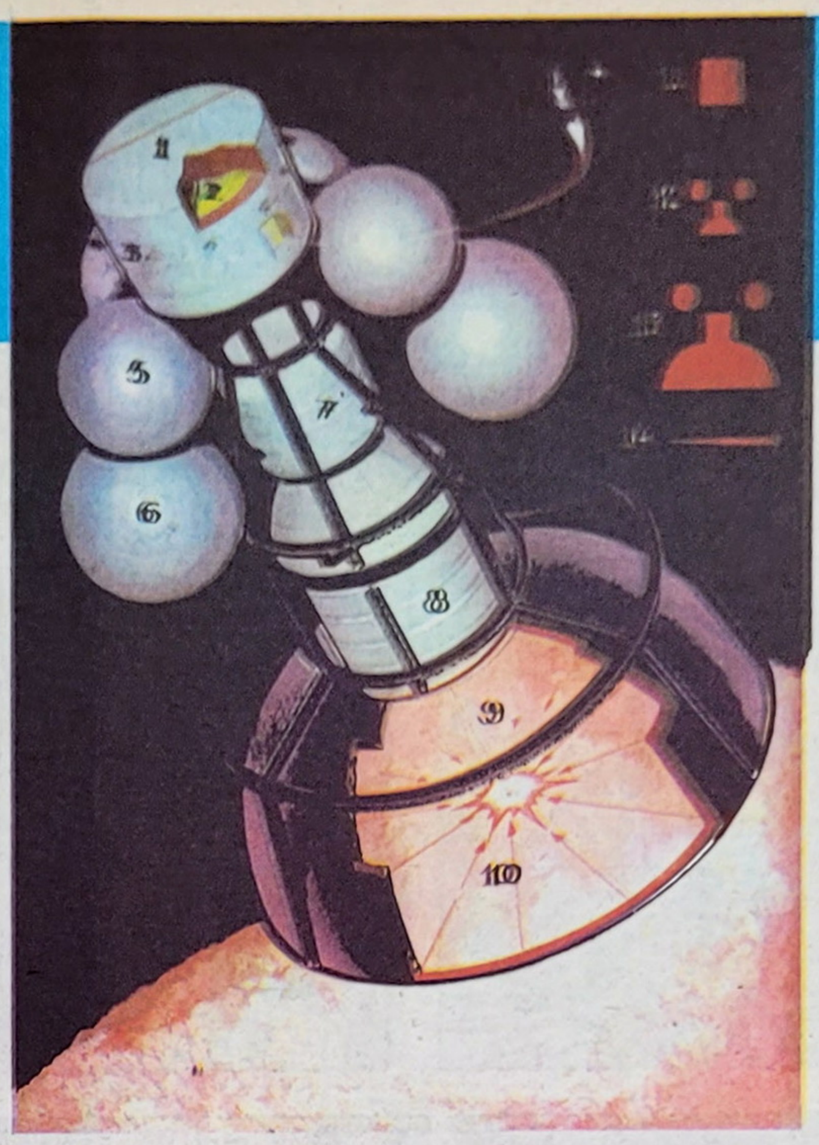

Oto niezwykły projekt gwiazdolotu zaproponowany przez Brytyjczyków: 1 – osłona części załogowej; 2 – pomieszczenie mieszkalne; 3 – teleskopy; 4 – sonda eksploracyjna; 5 – zbiornik paliwa II stopnia; 6 – zbiornik paliwa I stopnia; 7 – reaktor II stopnia; 8 – przyśpieszacz magnetyczny cząstek; 9 – wyrzutnia 250 mikrobomb wodorowych na sekundę; 10 – strumień elektronów. Po prawej w kolorze czerwonym przedstawiono schematycznie wielkość poszczególnych części w porównaniu do wielkości najpotężniejszej dziś rakiety. I tak: 11 – część załogowa; 12 – II stopień pojazdu; 13 – I stopień statku; 14 – rakieta „Saturn-5"!

Zakłada się, że w pierwszej fazie statki międzyplanetarne wyruszą bez załóg dla dokonania rekonesansu. Dopiero później na ich pokładzie znajdą się ludzie. Najodważniejszą i najbardziej zdumiewającą częścią statku jest system napędowy zaprojektowany przez Bonda. Jego źródłem będą minibomby wodorowe, eksplodujące z tyłu statku w rytmie 250 na sekundę. Wyzwalana w trakcie tych eksplozaji energia stanie się siłą napędową pojazdu. Rozmiary bomb będą mniejsze od piłeczki pingpongowej. Uczeni opracowali także materiały, z jakich zostanie wykonany statek.

Marian Boroń
ul. Bytomska 7a/1
42-600 Tarnowskie Góry

INNE SZCZEGÓŁY PROJEKTU „DEDAL"

System napędowy stanowić będzie tzw. termojądrowy napęd pulsacyjny. Idea budowy silnika tego typu została wysunięta w latach 50-tych, przez polskiego uczonego prof. Stanisława Ulama, zaś pomysł wykorzystania go do lotów międzygwiezdnych został przedstawiony w 1968 r. przez F. Dysona. Czynnikiem napędowym mają być, według obecnych projektów, wybuchy mikroładunków jądrowych, gdzie zamiast zapalników uranowych, użyte byłyby lasery, lub wysokoenergetyczne wiązki elektronów relatywistycznych. Paliwo termojądrowe (w postaci deuteru i helu 3) uformowane będzie w kilkucentymetrowe kulki, które mają być wystrzeliwane z częstotliwością 250 sztuk na sekundę.

W związku z tym, że do realizacji projektu „Dedal" potrzeba będzie ok. 30 tys. ton helu 3, którego otrzymanie w ziemskich warunkach jest bardzo kosztowne, przewiduje się zaopatrzenie w ten niezbędny surowiec z atmosfery Jowisza bogatej w hel za pomocą separatorów utrzymywanych nad powierzchnią planety przy użyciu balonów typu mongolfier (wypełnionych ciepłym gazem). Rozważa się też możliwość uzyskania helu 3 w reaktorach jądrowych usytuowanych na Księżycu.

Wspomniane wyżej porcjowane ładunki paliwa, w odpowiednim punkcie komory silnikowej trafiane byłyby przez 4 wiązki wysokoenergetycznych elektronów i w związku z tym zaistniałyby odpowiednie warunki do syntezy deuteru i helu 3.

Oto niektóre dane próbnika:
Masa paliwa I stopnia – 46000 ton
II stopnia – 4000 ton
Masa użyteczna ładunku – 450 ton
Czas pracy silnika w latach dla I stopnia – 2,05, II stopnia – 1,76.
Masa końcowa (ton) dla II stopnia – 900.
Liczba zbiorników paliwa – 6 w pierwszym stopniu, 4 w drugim. Średnica komory silnika I stopnia – 100 m, drugiego – 40 m. Ciąg silnika I stopnia – $7{,}11 \cdot 10^6$ N., drugiego – $7{,}2 \cdot 10^5$N.

W zależności od źródła otrzymywania helu 3 start próbnika nastąpiłby z orbity parkingowej wokół Księżyca lub Jowisza. Trzecią prędkość kosmiczną statek osiągnąłby po dwóch dniach. Po oddzieleniu zbędnych zbiorników (w odległości ok. 0,212 lat świetlnych od Słońca) próbnik będzie leciał lotem beznapędowym. Nastąpi jednocześnie włączenie układów automatycznego sterowania usytuowaniem w przestrzeni. Czasza nieczynnego silnika II stopnia zostanie wykorzystana jako antena o wymiarach 40 metrów służąca do transmisji danych na Ziemię. W miarę zbliżania się sondy do Gwiazdy Bernarda, teleskopy umieszczone na stacji zaczęłyby poszukiwanie planet. Po ich ewentualnym wykryciu zostałyby wysłane w ich kierunku małe próbniki automatyczne. Za pośrednictwem statku macierzystego przekazywałyby na Ziemię szczegółowe informacje.

Należy tu nadmienić, iż na statku macierzystym zainstalowany byłby specjalnie zaprogramowany komputer o dużej „inteligencji" – tj., między innymi, o możliwości rozwiązywania problemów w sytuacjach awaryjnych. Opóźnienie łączności (wynikające z dużej odległości) trwałoby przecież ok. 6 lat. Próbnik działałby dopóty, dopóki starczyłoby paliwa zapewniającego zachowanie właściwego usytuowania w przestrzeni. Później zaś sonda pomknęłaby w niezmierzoną pustkę kosmosu.

Pomimo pewnej fantastyczności projekt ten teoretycznie jest możliwy do wykonania. Kiedy jednak nastąpi start?... Nie wiadomo, chociaż czas Wielkich Podróży w Wielką Nieznaną nadchodzi olbrzymimi krokami.

Wiesława Pająk
ul. Kilińskiego 27 m. 7
08-110 Siedlce

Kącik korespondentów

Astronomią, astronautyką, cywilizacjami pozaziemskimi, UFO i budową lunet amatorskich interesują się: **Jarosław Pawlenka** (12 l.), ul. Wolności 73/5, 41-902 Bytom; **Mirosław Skwarliński** (16 l.), ul. Powstania Wielkopolskiego 119/12, 81-470 Gdynia (członek PTMA). Astronomią i tematyką UFO: **Witold Iwaszkiewicz** (12 l.), ul. Lechitów 12, 65-345 Zielona Góra; **Krzysztof Sacha** (12 l.), ul. Nowotki 14/4, 65-225 Zielona Góra; **Bogusław Wysoczański** (11 l.), 64-961 Kuźnica Żelichowska, skr. 191. Astronomią, astronautyką, UFO, s-f, możliwością życia w kosmosie: **Mirosław Cieślik** (15 l.), ul. Łużycka 4/2, 66-400 Gorzów Wlkp.; **Marek Marcinkowski**, Al. Niepodległości 6a/22; 59-300 Lublin. Zjawiskiem pioruna kulistego i UFO: **Mirosław Kempa** (14 l.), ul. 22 Lipca 24/29, 08-110 Siedlce.

Uwaga: Zgłaszając swoje nazwisko do kącika korespondentów nie zapomnij podać krótko specyzowanych zainteresowań, dokładnego adresu oraz koniecznie swego wieku lub klasy, do której uczęszczasz.

grozę. Wielokrotnie przysłuchiwałem się opowieściom starszych wojowników o sile jej odmętów, o jej zdradzieckich wirach. Missouri, zwana przez Indian Mętną Rzeką, słynęła także i z tego, że zdumiewająco szybko zmieniała poziom swych wód. Porywała z brzegów pnie i całe drzewa, by wciągnąć je w głębię, a potem z impetem wypchnąć na powierzchnię o pół mili dalej.

Dla nas jednak przedostanie się przez Missouri nie nastręczało większych trudności. Bród w pobliżu Cow Island był płytki i łatwy do przebycia. Kiedyśmy doń dotarli, ujrzeliśmy na przeciwległym brzegu sporą stertę skrzyń i worków, a w pewnym odstępie od niej gorączkowo okopujących się kilkunastu Długich Noży i kilku cywilów. Później dowiedzieliśmy się, że dopiero co był tu parowczyk „Benton", który wyładował towary dla położonego o siedemdziesiąt mil dalej na zachód Fortu Benton. Ów fort był placówką głównie handlową, a nie wojskową, toteż dowódca tamtejszego szczupłego garnizonu mógł wyprawić jedynie trzynastu żołnierzy do ochrony cennego ładunku.

Najpierw straż przednia, licząca dwudziestu wojowników, przebyła Missouri. Następnie pozostali wojownicy przeprawili przez rzekę rannych, starców, kobiety i dzieci, a na końcu konie i bydło. W tym czasie zbrojna dwudziestka bacznie pilnowała Jankesów, przytajonych w okopach jak myszy pod miotłą.

Po rozłożeniu obozu w bezpiecznym miejscu, o dwie mile na północ od Missouri, część wojowników wróciła do brodu i strzałami przepędziła owych kilkunastu strażników. Potem zabrała się do towarów. Odkryła znaczne zapasy mąki, ryżu, fasoli, bekonu, sucharów, kawy i cukru oraz innych, jakże potrzebnych nam rzeczy. Nie zważając na kryjących się w pobliżu wrogów, wojownicy obładowali towarami juczne konie i witani gromkimi okrzykami, przywiedli je do obozu.

Był dzień 23 września 1877 roku. Od wielu tygodni pierwszy miły, jasny dzień dla naszej grupy. Wreszcie nadeszła dawno upragniona chwila: tylko osiemdziesiąt mil drogi dzieliło nas teraz od Kanady. Drogi wolnej od Jankesów, gdyż Howard i Sturgis tłukli się za nami o dobre cztery dni marszu, a może i dalej. Zatem wyzwolenie było już pewne – jaka bowiem siła mogła nas jeszcze zatrzymać na obszarze Stanów Zjednoczonych?

Ludzie nasi oddawali się radości, do późna w noc trwały gawędy, wśród namiotów wybuchały śmiechy. W wesołym podniecieniu gotowi byliśmy niemal zapomnieć o strasznych przejściach, o ranach, wycieńczeniu, nędzy. Oto znowu czekało nas życie w pokoju, z dala od prześladowań Długich Noży, w kraju, gdzie nie będą nas osaczali zachłanni osadnicy ani knuli podstępy zdradzieccy Indianie.

Twarze Nez Percé jeszcze tak niedawno posępne i wyczerpane, teraz tchnęły nową ufnością; pogodne oczy uśmiechały się. A wszyscy, wzruszeni, spoglądali na Wodza Józefa, wiedzieli bowiem, że głównie jemu zawdzięczali to zwycięstwo.

Wódz Józef dzielił naszą radość, ale myślą wybiegał już ku dalszym poczynaniom. Jeszcze przed nadejściem nocy przywołał kilku wojowników i polecił im, by szykowali wierzchowce do drogi. Mieli co rychlej popędzić na północ do Sitting Bulla. Przypominam – przybywał on wówczas na ziemi kanadyjskiej, gdzie znalazł schronienie przed zemstą Jankesów za zwycięstwo jego Sjuksów i Szijenów nad generałem Custerem. Wódz Józef chciał zawiadomić go o naszej ucieczce i zaproponować mu połączenie sił Nez Percé i Sjuksów.

Nam, kilku młodym chwatom, widzącym odjeżdżających wysłanników, zaczęły nasuwać się pewne wątpliwości. Zdobyliśmy się na odwagę i przystąpiliśmy do wodza.

– Wodzu Józefie – rzekł któryś z nas z wahaniem w głosie. – Dotąd sami sobie radziliśmy i dotarliśmy tu bez niczyjej pomocy. Dlaczego więc teraz zwracamy się do tych Sjuksów?... Przecież byli zawsze naszymi wrogami?

– Macie słuszność, byli – Wódz Józef uważnie na nas popatrzał – jednak nie sądzę, iżby zamierzali być nimi nadal.

– Ale gdy przypominamy sobie tych rabusiów, Wrony...

– Rozumiem waszą rozterkę. Wszakże Sjuksowie zdają się być z innej gliny. Oni dobrze wiedzą, kto jest ich prawdziwym wrogiem. Zdrowy rozsądek nakaże im pogrzebać dawne waśnie między nami.

– A jeśli nie stanie im rozsądku?

– Sitting Bull to człowiek o otwartej głowie...

Jak się wkrótce okazało, Wódz Józef niestety przecenił Sitting Bulla.

Cdn.

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski. JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY
Red.naczelny 21-15-61
Sekr.redakcji 28-25-48
Dział Łączności
z Czytelnikami 21-81-13

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA–RSW Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Marek Trojanowski

Opracowanie techniczne
Małgorzata Weś

DRUK: Zakłady Graficzne "Dom Słowa Polskiego.

Zam. nr 5145/G D-42

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

- Kamionka czyli kuna domowa mieszka w mieście i to wśród wieżowców. Gdzie? dowiecie się o tym ze str. 6.
- Już ósmy odcinek „Indiańskiego świata".
- „Ich rozwój cywilizacyjny zatrzymał się na poziomie sprzed dwóch, trzech tysięcy lat." Kim są ci ludzie?
O zagadkowym plemieniu Todów przeczytacie na str. 4

Pod dozorem wojownika powlókł się chwiejnym krokiem niedaleko i wrócił z torbą, z której wyjął pękaty woreczek, ważący więcej niż dwa funty. Część zawartości wysypał sobie na dłoń: ujrzeliśmy pył oraz grudki złota.

– Niestety, mylisz się! – rzekł do niego Olikut. – Dla nas, Indian, złoto nie ma żadnej wartości. Gardzimy nim! A dla ciebie, huncwocie, także już nie ma wartości: będziesz wisiał za chwilę...

Olikut odszedł od nas o kilkanaście kroków i na wszystkie strony rozsypał z zawziętą miną złoto z worka. Trzech jeńców powiesiliśmy na gałęziach pobliskiego drzewa na powrozach ze skóry bizonowej, zwanych lasso. Douglas straszliwie nam przy tym złorzeczył i musieliśmy mu zatkać usta kłębem zielska.

Zbiegły James Mason w nocy nie zamącił nam spokoju, a następnego dnia rano na próżno szukaliśmy go w okolicy. Zresztą śpieszno nam było do swoich w obozie i do zdania sprawy Wodzowi Józefowi o wytępieniu bandy morderców. Z wyjątkiem jednego.

RADOŚĆ NAD MISSOURI

Już przeszło trzy miesiące trwała nasza wojna ze Stanami Zjednoczonymi. Wojna, w której Jankesi z całą bezwzględnością postanowili rozprawić się z grupą niezależnych jeszcze Nez Percé. Przez długie jak ponury sen trzy

ARKADY FIEDLER ● MAREK FIEDLER

INDIAŃSKI NAPOLEON GÓR SKALISTYCH

31

miesiące garstka naszych wojowników skutecznie odpierała ataki i skutecznie zwodziła wroga, mającego nad nami miażdżącą przewagę zarówno liczebną jak i wszelkiego wyposażenia.

Jak już kilakrotnie wspomniałem, męstwa, waleczności i zwycięstw nie mogły nam odmówić nawet wrogie gazety amerykańskie. Ileż sił jednak kosztowały nas wytężone marsze, ciągłe kluczenie i gubienie pościgu, starcia i potyczki. Tego było doprawdy już nadto, zwłaszcza dla dzieci, starców i kobiet. A jednak uporczywie brnęliśmy dalej, bo oto wreszcie zbliżaliśmy się do potężnej Missouri, skąd do Kanady mieliśmy już tak blisko.

A więc wszyscyśmy żyli myślami o Missouri. Kobiety wymawiały nazwę z westchnieniem ulgi, na twarzach wojowników coraz częściej pojawiały się uśmiechy.

W wędrówce na północ podążaliśmy przez krainę, zwaną Judith Basin; stamtąd do Missouri było nie dalej niż pięćdziesiąt mil. Nasi wodzowie dobrze znali te strony z wypraw myśliwskich i wiedzieli, że przed nami znajdują się dwa dogodne miejsca do przekroczenia rzeki; jedno w pobliżu ujścia Musselshell, gdzie można było pokonać groźną Missouri na łodziach ze skóry bizonowej; drugie o pięćdziesiąt mil w górę rzeki, nie opodal Cow Island. Wodzowie nasi początkowo skłaniali się ku pierwszej możliwości, lecz ostatecznie wybrali bród przy Cow Island. Wybrali dlatego, bo u ujścia Musselshell leżała mała, bezbronna osada Corral, a na wieść o niej, w oczach wielu młodych wojowników, nadal rozjątrzonych masakrą w dolinie Big Hole, pojawiały się złe błyski.

I wreszcie ujrzeliśmy Missouri. W naszej górskiej ojczyźnie żyliśmy za pan brat z wieloma dzikimi rzekami; nie straszna nam była rwąca Salmon czy rozhukana Snake. Wszelako spozierając na Missouri, na jej mętne, ciemne masy wody, od których biła niewytłumaczalna potęga, czułem pewną

Dokończenie na str. 7